

Autor *Soplicy* i *Listopada* (Henryk hr. Rzewuski).
według rysunku I. J. Kraszewskiego.
zmarły dnia 26 Lutego 1866 r. urodzony 3 Maja 1791 r.

WOJNA Z SĄSIADKĄ.

Drobnostka dramatyczna, p. Wolody Skibę, (aut. powieści *Igła i Pióro*).

II.

Po wyjściu pana Kaźmierza pani Jagodowska byłaby zapewne rozpoczęła długi monolog, do którego zagrożony pokój domowy mógł jéj aż nadto dostarczyć przedmiotu, lecz zaledwie miała dość czasu na powtórzenie swego ulubionego wyrażenia, bo zaraz drzwi któremi weszła uchyliły się cokolwiek, i ukazał się w nich rąbek jasnéj sukni.

— Ach! panna Tekla,—rzekła zafrasowana gospodyni, — nic piękniejszego... proszę... proszę...

Panna Tekla nieśmiało wsunęła główkę i bystrym rzutem oka rozejrzała się po pokoju. A była to główka „nic piękniejszego," nic ma co mówić, i oczka co promieniami swych źrenic zabiegały do kawalerskiego mieszkania, były tak ładne, jak rzadko. Czarne jak dwa węgielki, swawolne jak dwoje drobnych ptasząt, wesołe i pogodne jak ranek majowy. Dziwnie harmonjowały z ciemnemi splotami włosów, a na tle doskonale białéj cery pociągłéj twarzy, dwoma słabemi rumieńcami i jednym żywym uśmiechem, piękność ich uwydatniała się jeszcze lepiéj. Uśmiech ten

pokazywał dwa szeregi ząbków, mogących służyć za model temu z dentystów, który najwięcéj na różnych wystawach za sztuczne zęby dostał medali.

Nie poprzestając na przeglądzie zrobionym oczyma, panna Tekla zapytała jeszcze półgłosem.

— Nie ma nikogo?...

— Nikogo, panno Teklo, jestem samiutka jak nic piękniejszego.

Dopiero na to zapewnienie sąsiadka pana Kaźmierza wbiegła wesoło do jego pokoju...

— Chciałabym pani pomódz sprzątać... jak codzień,—rzekła, a z tych słów kilku domyśleć się łatwo, że ręką kobiety, którą znać było w porządku, jaki panował w mieszkaniu pana Kaźmierza, była jéj rączka.

— Eh! panno Teklo, kto wie czy to i warto, — odpowiedziała gospodyni, — albo to się mężczyzna kiedy nam kobietom odwdzięczy?... Mój mąż nieboszczyk...

— Ja też nie dla wdzięczności... tylko dla wprawy w gospodarstwie to robię, — tłomaczyła się panna Tekla,—to przecież potrzebne kobiecie.

— Tak... nic piękniejszego... potrzebne, ale w téj chwili możeby lepiéj było pomyśleć o sobie i mieć się na ostrożności, zamiast ścierać kurze u tego niewdzięcznika.

— Jakto?—zapytała, niedobrze rozumiejąc panna Tekla.

— Albo on tego wart?... to awanturnik jakiś i nic piękniejszego.

— Cóż zrobił?...

— Nic nie zrobił, tylko gniewa się strasznie... Gadał mi o jakichś *pultynatach*, o jakiejś *kazubulli*, czego ja wszystkiego nie rozumiałam, choć mi zaraz na francuzkie tłomaczył... i koniec końców... nic piękniejszego... wypowiedział pannie Tekli wojnę!—Otóż do czego przyszło w moim domu!...

Panna Tekla mało nie podskoczyła z radości.

— Wojna!... wypowiada mi wojnę!... niech będzie wojna!... zawołała klaszcząc w ręce.

— I panna Tekla z tego się cieszy?—rzekła zdziwiona Jagodowska.

— Albož to nie wesołe doprawdy?... figiel za figiel, psota za psotę, aż w końcu jedno drugiemu ustąpić będzie musiało i prosić o przebaczenie... ale ja z pewnością nie ustąpię!...

— I dom mi przewrócicie do góry nogami....—niepokoiła się gospodyni.

— Nic się domowi nie stanie, nie bój się pani... Tylko chciałabym wiedzieć zkąd mu przyszło takie postanowienie... O co się gniewa?...

— O pokrzywę.

— Więc się sparzył?...

— Nic piękniejszego... ręka zczerwieniała jak burak!

Panna Tekla roześmiała się zrazu, ale później przykro jéj się zrobiło, i z większą prawdą niż żartem w głosie rzekła:

— Sparzył się... bardzo?... zabardzo może?... To doprawdy szkoda... nie, takiéj wojny nie chcę... głupstwom zrobiła!

— Nie chce panna Takla wojny... nic piękniejszego... Pan Kaźmierz już powiedział pod jakiemi warunkami da się przeprosić...

— A! jaki pewny siebie!... to zarozumiałość!... ciekawam jakie to warunki.

— Chce żeby panna Tekla wzięła to wszystko, co kładł na wystawce i powiedziała, że prosi o zgodę.

— Ho! ho! ho!... aż tyle mu się zachciewa.

— Ja myślę, że to nic piękniejszego... co do mnie jabym zaraz przystała... mój mąż nieboszczyk mawiał: lepsza słomiana zgoda niż złoty proces, a proces albo wojna to jedno.

— Ale ja nie przystaję i nie przystanę nigdy. Zaczynam wojnę i nie skończę jéj aż zwyciężę.

To stanowcze postanowienie mało do rozpaczy nie doprowadziło poczciwéj Jagodowskiéj. Załamała ręce i wykrzyknęła raz jeszcze, próbując dyplomatycznéj perswazji, którą zwykle neutralni usiłują zagasić wszczynający się pożar bojowy.

O! ja nieszczęśliwa!... panno Teklo!... porywać się na mężczyznę, to przecież i ryzykownie i nieładnie.

Panna Tekla nie słuchała perswazji, myślała już bowiem w téj chwili jakim krokiem strategicznym rozpocząć swoją kampanję.

— Mam wziąć bukiety, list i fotografję,— mówiła do siebie półgłosem, — tylko tyle!... i do tego prosić o zgodę... Oho! panie Kaźmierzu, nic z tego nie będzie... Spróbujemy się kto mocniejszy... Jakąby mu tu zrobić psotę?

Wzrok jéj padł na biurko, zbliżyła się zatem do niego.

Na biurku stał kałamarz z piaseczniczką, jedno i drugie na téj saméj podstawce, jedno i drugie wielkie, z czarno pomalowanego drzewa, formy powszechnéj niegdyś po biurach i kantorach kupieckich, i dziś jeszcze gdzieniegdzie praktykowanéj. Przed tym przyborem leżały, jak już wiemy, rozpoczęte konjugacje francuzkie pana Kaźmierza.

— Zacznijmy od piaseczniczki, — rzekła panna Tekla, i wziąwszy ją zaczęła rozsypywać piasek po podłodze.

— Nic piękniejszego, to mu właśnie bardzo dokuczy,—zauważyła Jagodowska.

Ta uwaga nie zmieszała bynajmniéj panny Tekli.

Po wysypaniu piasku przelała do piaseczniczki atrament.

— Tak będzie doskonale,—myślała,—teraz zobaczmy co on tu pisze. Nie godzi się za-

glądać do cudzych papierów, ale to przecież nie listy, a zresztą wojna wszystko usprawiedliwia.

Tak dawszy sobie rozgrzeszenie z ciekawości wzięła do ręki arkusz leżący na wierzchu.

— Konjugacje francuzkie,—zawołała,—doskonale! Odmienia słowo *aimer*... wybornie!... to i piękniejsze i foremniejsze od *haïr*... Czytajmy... *tu n'aimeras pas... il n'aimera pas, elle*... tu stanął. Dla czego stanął?... Doprawdy wyborny figiel... piszmy za niego.

Umaczała pióro w resztce pozostałego w kałamarzu atramentu i zabrała się do pisania.

— Najprzód po *elle* ogromny znak zapytania,—myślała pisząc,—a potem... co by tu potem?... *elle n'aimera pas*... tylko wielkiemi literami... *elle n'aimera pas*, ze sześć razy.

Podczas téj czynności pani Jagodowska wzruszając ramionami mruczała.

— Nic piękniejszego... robi za niego gramatykę francuzką... to mi wojna!

— No, jeszcze raz, *elle n'aimera pas* i dosyć będzie,—rzekła panna Tekla, kładąc pióro,—teraz pomyślmy o czem innem.

Na tacy, na któréj stały przybory śniadanne znajdowała się solniczka. Panna Tekla wszystką sól z niéj wsypała do stojącéj tam również karafki z wodą.

— O! tego już zawiele,—zawołała Jagodowska,—zrobi się solanka.

— Nie bój się pani,—odpowiedziała wojująca sąsiadka,—urzędnik magazynu solnego znać się powinien z solanką. Robię doświadczenie czy słona woda nie jest skutecznem lekarstwem na chętkę wojowania z sąsiadkami. Jeżeli się pokaże, że tak jest, to pana Kaźmierza poszlemy do Ciechocinka na kuracją. No, teraz trzeba coś jeszcze, bo tego wszystkiego zamało. Moja pani Jagodowska, choć kawałeczek konceptu, bo mi już na prawdę brakuje. Bądź pani moim sprzymierzeńcem w téj wojnie i daj swój głos w radzie wojennéj.

— Moja rada jest uciekać coprędzéj,—zawołała przestraszona gospodyni, — bo zdaje się, że nieprzyjaciel nadchodzi. Słychać jego kroki na wschodach.

Pomimo swego bojowego zapału, panna Tekla okazała się jakoś bardzo skorą do rejterady. Spostrzeżono się jednak i zapóźno i zawcześnie zarazem. Zapóźno bo nim bohaterka nasza dobiegła do drzwi, któremi chciała uchodzić już drzwi wchodowe się otworzyły,—zawcześnie, bo wchodzącym nie był nieprzyjaciel, tylko stróż kamieniczny z kartką w ręku.

Widok stróża natychmiast uspokoił przestrach panny Tekli.

— A! to wy Janie,—zawołała, — przychodzicie w samą porę. Cóż tam nowego?

Stróża nazywali wszyscy w domu *tatą*, bo za każdem słowem mówił *ta*.

— Ta przynieśli, proszę panienki, tę ta kartkę do pana Kaźmierza, żeby ta przyszedł do pana pisarza magazynu, ta o w pół do dwunastéj koniecznie.

— Dobrze, dobrze, pan Kaźmierz będzie,— odpowiedziała panna Tekla,—możecie powiedzieć służącemu....

— Ta, proszę panienki, to służąca...

— No, to służącéj powtórzcie Janie, że pan Kaźmierz przyjdzie z pewnością.

— Załatwia za niego interesa, — myślała pani Jagodowska,—nic piękniejszego... to mi wojna!...

Jan już miał wychodzić gdy pannie Tekli przyszła myśl nowa.

— Czekajcie, czekajcie no Janie... Znacie pannę Brygidę z przeciwka?...

— Ta znam proszę panienki.

— Zaniesiecie jéj te bukiety, ten list i tę fotografję od pana Kaźmierza. Pan Kaźmierz kazał, nieprawdaż pani Jagodowska?

Wdowa wezwana na piotrkowskiego świadka oburzyła się:

— Nic piękniejszego... właśnie pan Kaźmierz chciał, żeby panna Tekla wzięła sobie te wszystkie rzeczy.

— Widzicie Janie,—przerwała niezmieszana panna Tekla,—sama pani Jagodowska mówi, żebym wzięła te wszystkie rzeczy i posłała pannie Brygidzie.

Jan przekonany zupełnie zabrał bukiety, fotografją, liścik i wyszedł.

Panna Tekla skakała z radości.

— A co?... a co?... wołała, — gdzie teraz wszystkie jego warunki?... Jak mnie przymusi, żebym wzięła rzeczy, których już nie ma?... Jak się wykręci z paluszków panny Brygidy?... Powiedz pani czy nie wybornie biorę się do rzeczy?....

— Będzie z tego nieszczęście, panno Teklo,—odrzekła wdowa,—nic piękniejszego jak nieszczęście, powiadam.

— Nie bój się pani, nic strasznego nie będzie,—uspakajała przestraszoną wdowę wesoła bohaterka nasza, — tylko na tem nie koniec.

— Nic piękniejszego... jeszcze nie koniec.

— Ma być u pisarza o w pół do dwunastéj, teraz kwandras na jedenastą. Trzeba to inaczéj urządzić.

Na ścianie obok biurka wisiał zegar ścienny; panna Tekla wskoczyła na stojące pod nim krzesło i posunęła go o półtoréj godziny, mówiąc:

— Tak będzie wygodnie, nieprawdaż?... toż się będzie zwijał i spieszył.

— O tak!... nie spóźni się z pewnością... nic piękniejszego!.., to mi wojna.

W téj chwili już na serjo dał się słyszeć na wschodach odgłos kroków pana Kaźmierza i bohaterka nasza dała powtórnie dowód, że tylko do partyzanckiéj wojny była zdolną.

— Idzie! idzie!... uciekajmy,—rzekła ciągnąc za fartuch panią Jagodowską.

Ledwie tyle czasu pozostało na ucieczkę, że kiedy drzwi od pokoju pani Jagodowskiéj się zamykały, otwierały się drzwi wchodowe.

Wszedł niemi pan Kaźmierz, trzymając w ręku wielki wazon z kwiatem, prawie tak jak on sam wysokim.

— Przepyszny oleander,—mówił do siebie wchodząc i stawiając go na podłodze, — ale diabelnie ciężki, i drogo kosztuje. Mniejsza wreszcie, że drogo kosztuje... kiedy się jest urzędnikiem magazynu solnego, to wypada słono płacić za oleandry... Tylko ciężki, bo ciężki... chociaż i to nic złego... właśnie dla tego przecież go kupiłem, że taki ciężki... Alem się też zmęczył dźwigając!... *oh! que je suis fatigué!...*

To mówiąc siadł na kanapie i obcierał chustką pot z czoła.

— Ciekawym jak też sobie sąsiadeczka poradzi?—myślał,—nie wrzuci mi go przez okno, bo nie udźwignie... Wyborny pomysł!... chcąc nie chcąc będzie musiała mieć ciągle przed oczyma mój prezent, i podlewać go z litości... jeżeli nie nademną to nad kwiatem. No, napijmy się wody na ochłodę i do dzieła.

Wstał z kanapy, nalał sobie szklankę i wypił duszkiem, postawił ją na stole, skrzywił się i rzekł:

— Kiedy się jest urzędnikiem magazynu solnego, to i woda słono smakuje... Doprawdy nie pojmuję co się téj wodzie stało... Czy do studni czasem beczka soli nie wpadła? albo może pod tym domem są saliny jak w Wieliczce?... Cóżby to było za wspaniałe odkrycie!... Przestalibyśmy płacić podatek rządowi austryjackiemu... reńskie spadłyby jeszcze bardziéj... Doprawdy pomówię o tem z panem pisarzem. Unieśmiertelniłbym się odkrywając kopalnie soli!... Tylko że mnie tam strasznie pali... *j'ai soif, oui, j'ai soif...* Cóby tu począć?... ha! cóż?... najlepiéj przecierpieć pierwszą chwilę, jak po śledziu, to się i odechce. Zabierzmy się do roboty.

Otworzył okno sąsiadujące z panną Teklą, posuwał na bok doniczki, znajdujące się na wystawce, potem dźwignął przyniesiony oleander i nie bez trudu przeniósłszy go przez okno, umieścił wreszcie na wystawce.

— Stój tu,—mówił do kwiatu,—stój jako pomnik mego zwycięztwa. Sąsiadka nie chciała drobnego bukietu niech ma oleander olbrzymi. Zostawiam okno naumyślnie otwarte, niech go wrzuci nazad do mnie, jeśli poruszy.

Uradowany swym pomysłem odszedł pan Kaźmierz od okna.

— Z tem wszystkiem,—myślał,—trzeba powrócić do roboty. Monsieur Latartine przychodzi popołudniu, a ja dopiero zacząłem czas przyszły.

Zasiadł przed biurkiem i chciał zacząć pisać, lecz zaledwie rzucił okiem na papier zawołał:

— A to co?... *elle n'aimera pas...* ze sto razy, *elle n'aimera pas!...* kto to mógł pisać?... Ona!... Nieprzyjaciel naszedł na moje terytorjum. O! ja nieszczęśliwy!... co powie pan Latartine na moje pisanie!...

Nagle zasępiło się czoło pana Kaźmierza, lecz nie na myśl o gniewie szanownego nauczyciela nadsekwańskiéj mowy.

— *Elle n' aimera pas,*—powtórzył,—piękne rzeczy!... wianek grochowy przed oświadczynami, przed zaznojomieniem się rzeczywistem... Czegóż to doczekałem na me młode lata!... Więc to wyrok nieodwołalny, więc już nic nie pomoże, nic jéj nie pokona... ani wojna, ani oleander olbrzymi?... Dotąd brałem to wszystko ze strony wesołéj, cieszyłem się że czas, sąsiedztwo, pewna doza wytrwałości i uporu wszystko zrobią... Ale teraz przekonywam się, że jest i strona smutna, bardzo smutna... Doprawdy serce mi się ściska!....

Zadumał się przez chwilę urzędnik magazynu solnego, lecz był zbyt młodym, zbyt wesołym i zbyt rezolutnym, ażeby miał opuścić ręce i stracić wszelką nadzieję.

— Może to żarty tylko,—pocieszał się,—gdyby wiedziała, że nie będzie mogła kochać naprawdę, to alboby tego nie napisała, albo najwyżéj napisałaby raz jeden. Kiedy kobieta pisze dziesięć razy „nie będę kochała,” to ma może ochotę napisać raz jeden „Kocham” po francuzku *j'aime.* Jaki dowcipny ten język francuzki. Po polsku *żem* to spójnik z przyrostkiem osobowym, a miłość jestże czem innem jak spójnikiem osobowym?...

Doszedłszy do téj filozoficzno-kalamburycznéj uwagi, wcale oryginalnéj i godnéj urzędnika magazynu solnego, pan Kaźmierz powiedział sobie:

— Nie trzeba tracić nadziei, a przedewszystkiem zaprotestować przeciw tym niegodnym dopiskom przez poprzekreślanie ich uroczyste.

Porwał za pióro i z gorączkowym pośpiechem wymazywał wszystkie *elle n'aimera pas.*

Ukończywszy tę czynność chciał zasypać piaskiem to co przekreślił. Wziął więc piaseczniczkę, potrząsł nią nad papierem, a czytelnik zgadnie z łatwością co się stać mogło.

Czarna struga atramentu zalała konjugacje, które miał przeglądać pan Latartine.

— Nieprzyjaciel ukrył się w piaseczniczce,—zawołał pan Kaźmierz,—wszędzie odtąd spo-

dziewać się go potrzeba. Jestem zaatakowany we własnéj fortecy. Biedny pan Latartine nie tak prędko zobaczy słowo *aimer* na cztery sposoby.... Miejmy się na baczności... tu jeszcze coś innego być musi. Nie trzeba się dać złapać, bo sąsiadka będzie się śmiała. Dosyś mi słonéj wody i plam z atramentu w téj płynnéj wojnie.

Szukając oczyma po pokoju śladów najścia nieprzyjaciela, pan Kaźmierz spostrzegł kartkę leżącą na stole.

— Cóż to za kartka?... nowy figiel pewno...—myślał biorąc ją w rękę i przebiegając oczyma,—o wpół do dwunastéj koniecznie... no, jeszcze czasu dosyć,—dodał mimowolnie spoglądając na zegar, — ba! piękny czas, dwunasta za pięć minut, a tom się spisał! Jak ten czas prędko leci... Dopiero co biła dziesiąta... nie, to musiała bić jedenasta... źle rachowałem... zresztą ten oleander musiałem dźwigać dwie godziny. Nie ma czasu do stracenia... śpieszmy się.

Porwał za kapelusz i chciał wybie lz, lecz we drzwiach spotkał się ze stróżem.

— Ta proszę pana, list, — rzekł Jan zatrzymując go.

— List od kogo?

— Ta od panny Brygidy z przeciwka.

— Czegóż ona odemnie chce?...

— Ta nie wiem... Kazała się ta kłaniać, i oddać ten list i podziękować za wszystko,— odpowiedział Jan wychodząc.

Pan Kaźmierz w pośpiechu nie słuchał ostatnich wyrazów. Roztworzył szybko list i zaczął czytać.

— To coś nowego w istocie,—myślał czytając i powtarzając wyrazy listu,—zwarjowała chyba... „Grzeczność pana sąsiada umiem cenić.” Co ja téj pachnącéj dziewicy za grzeczność kiedy zrobić mogłem?... Chyba to, że się kłaniam na ulicy... „Nie mogąc jednak pana przyjąć u siebie, bo nie wypada....” Ciekawym po co mnie ma przyjmować?... „Czekać będę na pana dziś o dwunastéj.” Masz tobie!.. dwunasta bije właśnie, a tam już pisarz czeka... «Na wale koło windy magazynu solnego...” To szczęście, że tak niedaleko... Co ona może mieć za interes?... To niepojęte... a jednak pójść potrzeba... kiedy się jest urzędnikiem magazynu solnego, wypada być grzecznym dla kobiet, nie wyłączając starych i brzydkich... Nie ma chwilki do stracenia...

Tą razą pan Kaźmierz wyszedł bez przeszkody.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły otworzyło się okno sąsiadki i panna Tekla zaczęła przypatrywać się oleandrowi.

— Co za przepyszny kwiat!—rzekła,—jaki ogromny, mało wystawki nie załamie... Ten pan Kaźmierz doprawdy ma wcale inny sposób wojowania jak mój... Ale poczekaj panie Kaźmierzu, i ja się zdobyć umiem na coś porządnego.

Tu panna Tekla wychyliła się przez okno i zawołała:

— Janie, Janie.

— Ta słucham panienki, — odpowiedział głos z dołu.

— Chodźcie tutaj na gorę, poszlę was na miasto.

Tymczasem pani Jagodowska, niespokojna jak wygląda plac boju i czy jéj domu naprawdę wojujący lokatorowie nie przewrócili do góry nogami, weszła do pokoju pana Kaźmierza z karafką w ręku.

— O! doprawdy pił tę szkaradną solankę,— rzekła spostrzegając napoczętą karafkę,—biedny chłopiec!... czem on teraz pragnienie ugasi... zrobiłam mu limonady, toć to zawsze lepsze jak woda... a tę solankę trzeba schować do szafy... I ten zegar... nic piękniejszego!... posunęła go najmniéj o trzy godziny... trzeba cofnąć... A te kajeta... o! jak powalał atramentem... może sobie tużurek splamił rozlewając... nic piękniejszego... Gotów mi zrobić proces, żem napisała na karcie: „dla osób lubiących spokojność...” To czyste nasłanie i nic piękniejszego z tą wojną.

Tak desperując pani Jagodowska sprzątnęła karafkę ze słoną wodą, cofnęła zegar nie zważając w pośpiechu, że go nastawia na dziewiątą, i że się przy cofaniu zatrzymał, a nareszcie z kajetu powydzierała wszystkie zwalane kartki, mówiąc do siebie:

— No tak, nic piękniejszego... przyczepić się nie może... ma gramatykę czystą.!. zegar cofnięty, a zamiast wody limonadkę... Cóż może chcieć więcéj?...

Przez czas tego gospodarowania pani Jagodowskiéj na placu boju, panna Tekla znowu zaczęła wyglądać oknem, upatrując powrotu Jana.

— Idzie, idzie,—zawołała nareszcie, i zamknąwszy swe okno, przez pokój gospodyni poszła do mieszkania sąsiada.

Jednocześnie prawie drzwiami prowadzącemi do sieni wszedł Jan, niosąc omszoną butelkę wina i pieczoną kurę na talerzu.

— Nic piękniejszego, a to co za zbytki?— zawołała oszczędna gospodyni.

— Ta, proszę pani, kura, ta i wino...

— Śniadanie dla pana Kaźmierza zapewne,—objaśniła panna Tekla i odbierając od stróża przyniesione przedmioty, umieściła je w szafce urzędnika magazynu solnego.

— Zkąd mu takie śniadanie... kura... wino.. nic piękniejszego.

— Pewno panna Brygida przysyła to za bukiety.

— Nic piękniejszego... i on to gotów zjeść a potem się wszystko wykryje, i panna Brygida jeszcze gotowa... nie wiem co.

— Jeżeli zje, niech mu będzie na zdrowie, a o pannę Brygidę mniejsza, — odpowiedziała panna Tekla.

— Kurak widzę świeżutki,—zauważyła gospodyni,—gdyby tak sałatka do niego, byłoby nic piękniejszego...

Pannie Tekli spodobała się ta propozycja i przyjęła ją natychmiast:

— Wie pani Jagodowska zrobimy na prędce sałaty.

— Nic piękniejszego panno Teklo... taką wojnę to rozumiem.

Z takiem postanowieniem gospodyni i lokatorka opuściły pokój pana Kaźmierza, a opuściły go w samą porę, bo w chwilę potem bohater nasz zmęczony i zdyszany wrócił do domu.

— Nie pojmuję co się dziś dzieje, — mówił do siebie,—pisarz kazał przyjść o wpół do dwunastéj, a wyszedł z domu o dziewiątéj i niewróci aż za godzinę... Tamta pachniąca dziewica nie wiedzieć zkąd i po co wymaga *rendez-vous* pod windą, ja pędzę co tchu starczy, a pod windą ani żywéj duszy... Gorąco... pragnienie dokucza... a tu jeszcze wojna w domu, nieprzyjaciel wodę posolił... Wszystkie nieszczęścia razem na mnie się spiknęły... żeby to licho!... już będzie w pół do pierwszéj...

Spojrzał na zegar, na zegarze była dziewiąta.

— Albo ten zegar, — myślał,— czy to nie zgroza?... Uszedł w tył trzy godziny i stanął na dobre na dziewiątéj... Słyszane to, żeby zegar w tył chodził?... Co mu się stać mogło?...

Trzeci z kolei pan Kaźmierz zabrał się do zegara i zaczął go posuwać naprzód.

— Musi być w pół do pierwszéj,—mówił,— dwunasta biła gdym wychodził.

Zaledwie nastawił wskazówki na tę godzinę zegar zepsuty ciągłem majstrowaniem bić począł.

— O w pół do pierwszéj bije!... znów coś nowego... Cztery, pięć... siedem... dziewięć... dwanaście... trzynaście... hola! hola! bratku... czternaście... stój powiadam.

Schwycił za jedną z wag i uniósł ją nieco do góry.

— Stój!... czternasta?... co za niesłychana godzina!... W głowie mi się dzisiaj przewróci; konjugacja zalana, w gardle sól piecze, pisarz, panna Brygida...

Wyliczając doznane przygody wypuścił wagę z ręki i zegar znowu bić począł.

— Znów bije!... co z nim począć?... siedem, ośm, dziewięć... A! do licha!... użyjmy poprzedniego lekarstwa.

I znów uniósł wagę cokolwiek.

— A widzisz jak zamilkłeś,—rzekł do zegara,—to mu się dziś wzięło na bicie!... Jeżeli mi tak w nocy zacznie... Ale ba! nim noc przyjdzie jak go na dzień uspokoić? Tak wiecznie wagi w górze trzymać niepodobna. Już mi ręka zemdlała... A bijże sobie kiedy chcesz.

Usunął rękę, waga znowu ciężyć zaczęła, zegar uderzył jeszcze dwa razy i zamilkł.

Pan Kaźmierz tryumfował.

— Tylko dwa!... dwa doprawdy... zabrakło mu głosu na więcéj... chrypki dostał biedaczysko!... Jednak to wyborna taktyka jakiéj użyłem z tym zegarem... mam z tego moralną naukę... trzeba téj strategji użyć w wojnie z sąsiadką. Doskonale!... rób co chcesz panno Teklo... psuj zegary, wsypuj sól do wody... dokuczaj mi aż się zmęczysz, a jak się zmęczysz będziesz ze mną odmieniała słowo *aimer*, o! będziesz......

Przewidywanie tak błogiego końca wojny z sąsiadką nie mogło jednak usunąć trawiącego pana Kaźmierza pragnienia. Mimowolnie myśl jego zwracała się do wody, a oczy na karafkę stojącą na stole.

— Trzeba jednak zawołać Jana, żeby przyniósł wody,—myślał,—a tą solanką popodlewam kwiatki sąsiadce. Jeżeli sól im posłuży, to będzie odkrycie stanowiące epokę w ogrodnictwie. Napiszę o tem artykuł do *Gazety Rolniczéj*.

Wziął za karafkę, lecz go uderzył kolor zmieniony mieszczącego się w niéj płynu.

— Oho! nowa mikstura... kolor wody uśmierzającéj Raspaila... ha! cóż?... jeśli zaś uśmierzająca to powinna uśmierzyć pragnienie. Sprobujmy.

Skosztował, a znalazłszy przyjemną niespodziankę wypił dość dużo.

— Smaczne,—zadecydował, przestając pić dla nabrania oddechu.

Po chwili znowu przyłożył usta do karafki.

— Doskonałe,—rzekł stawiając ją na stole,—to zmienia postać rzeczy... Taką delicją nie podlewa się pelargonji, azalei i kamelji. Kwiaty nie piły solanki, nie dostaną limonady... Ręczę, że to przysługa téj poczciwéj Jagodowskiéj. Schowajmy to do szafy i zamknijmy na klucz, bo sąsiadka atramentu dolać gotowa.

Zaledwie otworzył szafę, musiał ogromnem „a!" objawić swoje zadziwienie.

— Pieczona kura, butelka węgrzyna!... *une bouteille de vin, un poulet roti!...* Chyba dziś moje imieniny i zapomniałem sobie powinszować.. Nie wiem czy sól czy limonada tak podnieciła mój apetyt, lecz czuję się w mocy dowieść zdrowych zębów.

Wydobył z szafki kurę i butelkę, ustawił je na stole, rozkrajał jedną na pół, odkorkował drugą i zabrał się do jedzenia, mówiąc wesoło:

— Dawnoś nie miał takiego balu, panie Kaźmierzu!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

POGADANKI NAUKOWE. — WĘGIEL I DJAMENT.

(Ciąg dalszy.)

Djament znajduje się w gruntach napędzonych wodą, wśród piasków które tworzą łożyska potoków, trzeba więc korzystać ze suszy, aby robić poszukiwania, często nawet odwracać bieg wód. Djament ma na sobie rodzaj skorupy nieprzezroczystéj i jest czerwonym cementem, jakby ciastem obłożony, co utrudnia jego poszukiwania; robią je niewolnicy na w pół nadzy, żeby nie mogli ukryć kosztownéj swéj zdobyczy. Mycie powtarza się kilka razy, a nawet przecieranie ręką sztuk większych. Ciężar djamentu pomaga do jego rozpoznania, żaden bowiem z drogich kamieni, tyle nie jest ciężki, wyjąwszy może topazu białego brazylijskiego i szafiru białego, które się doń wagą zbliżają. Ale oprócz twardości ma jeszcze djament własność optyczną nader zajmującą: gdy *np:* patrzymy na koniec igły przez kamień przejrzysty i widzimy u igły dwa końce, możemy być pewni, że to nie jest djament, wszystkie bowiem drogie kamienie odbijają podwójnie przedmioty, wyjąwszy djamentu, który nie posiada téj własności.

Dawne ludy Europy nie znały sposobu szlifowania djamentu, nie znały też i cudownego połysku, jaki on wydać może odbijając i rozkładając światło na jego powierzchnię padające. Przypisują Ludwikowi de Berquem rodem z Bruges, że pierwszy wynalazł sztukę szlifowania djamentów; było to w połowie XV wieku. Niektórzy jednak twierdzą, że on tylko wydoskonalił tę sztukę, która już dawno znaną była. Z jego to rąk miał wyjść znakomitéj wielkości djament, zwany *Sancy*, który błyszczał na hełmie Karola Zuchwałego, w czasie bitwy pod Granson; podczas ucieczki żołnierz go zerwał z hełmu i z nieświadomości swojéj za dwa liwry sprzedał jakiemuś księdzu. Ten djament znalazł się we Francji za czasów Henryka IV w ręku Barona de Sancy, który go przesłał królowi wiedząc, że tenże jest w potrzebie. W drodze posłaniec został napadnięty i zabity, lecz pan de Sancy znając jego wierność i przytomność był pewny, że nikomu nie oddał kosztownego kamienia, odszukał więc jego ciało na jakimś wiejskim cmentarzu, otworzył je i znalazł djament, który wierny sługa połknął. Następnie djament ten dostał się do Anglji i król Jakób II sprzedał go Ludwikowi XIV za 625,000 franków. W 1792 roku był skradziony wraz z innemi kosztownościami korony i nie ma śladu gdzie się podział, aż dopiero w r. 1835 był sprzedany do Rossyi za 500,000 rs:

Szlifowanie djamentu jest ważnym przemysłem utrzymującym się wyłącznie w Amsterdamie, które to miasto już za czasów Ludwika Berquem, było przez handel Hollandji z Indjami w ciągłych stosunkach z krajami obfitującemi w djamenty. Fabryka p. Coster, jedna ze znajznaczniejszych, zatrudnia 425 robotników, zarabiających tygodniowo od 50 do 80 fr. Fabryka ta założoną została 1852 r., a dopiero zdarzyły się dwa wypadki zdradzenia zaufania. W ostatnich czasach usiłowano przyswoić ten przemysł Francji, ale napróżno, chociaż w Paryżu oprawiają się zwykle najpiękniejsze djamenty. Robota koło szlifowania djamentu jest bardzo mozolną. Gdy na kamieniu surowym dostrzegą jakie plamy ciemne, przecinają go. Robotnik osadza kamień na rękojeści drewnianéj za pomocą cementu bardzo twardego, gdy jest zimny, a mięknącego od lekkiego ciepła, i trze djament o inny z krawędziami ostremi, także osadzony na drugiéj rękojeści. Skoro tylko zmiarkował miejsce, w którem kryształ rozdzieli się z łatwością, kreśli szybko linję kamieniem ostrym, po tym, który chce szlifować. Na téj kresie kładzie rodzaj klingi stalowéj, i uderza w nią z lekka młotkiem, a kamień odrazu się rozpada. Robotnik przystępuje następnie do szlifowania rozlicznych ścian, których ilość sprawia większy blask kamienia; najczęściéj trąc jeden o drugi dwa zarazem szlifuje. Gdy jedna ściana jest skończona, rozgrzewa cement trzymający na rękojeści djament i obraca go, żeby się zabrać do szlifowania drugiéj ściany. Ta robota wymaga wielkiéj zręczności idzie bowiem o to, żeby kamień dawał jak najwięcéj blasku i żeby go przy szlifowaniu jak najmniéj ubyło. Cały ubytek z wagi kamienia, odliczony jest od zarobku robotnika. Lecz te ściany przedstawiają jeszcze powierzchnie nie dość gładkie; aby im nadać ostateczny połysk trze się je o blat stalowy, posmarowany proszkiem djamentowym rozrobionym w oliwie. Blat ten obraca się 600 razy przez minutę siłą pary, kamień jednakże nie trzyma się w ręku, gdyż jest drobny, i prędko się rozgrzewa, ale jest na osadzie. Fabryka Coster ma takich blatów, obracających się poziomo 220. Dwa są rodzaje szlifowania djamentów: *brylant* używany do większych sztuk i *rozeta* do mniejszych i płaskich. Są rozety tak drobne, że ich tysiąc na wagę karatu potrzeba.

W ogólnym mniemaniu djament korony francuzkiéj zwany *Régent* stawiany jest na pierwszem miejscu, nie tyle dla wagi, ile dla piękności swojéj i czystości wody. Pochodzi on z Gol-

kondy. Pitt kupił go za 312,500 fr. w Madras, w stanie surowym; ważył wtedy 410 karatów, szlifowanie jego trwało 2 lata i zredukowało go do 136 karatów. Ta robota kosztowała 125,000 fr. ale odpadki wróciły 75,000 fr. Nazwa tego djamentu pochodzi od Regenta Francji Filipa Orleańskiego, który go kupił w 1717 r. za 3,375,000 franków. W inwentarzu skarbca korony francuzkiéj którego całość wynosi 20 miljonów, *Regent* figuruje na 12 miljonów, co zdaje się być przesadzonem. Cena djamentów nie podlega wielkim zmianom, pomimo, że odkrycie min w Bahji 1846 r. spowodowało przestrach skutkiem domniemanego zniżenia ceny, jednakże cena ta tak się stopniowo podnosi, że od tego czasu w dwójnasób wzrosła.

W r. 1792 lud wszechwładny chciał oglądać najpiękniejszy z klejnotów swoich. Przykuto tedy *Regenta* do łańcucha przytwierdzonego w murze, odwiedzający mając po bokach dwóch dozorców, brał kamień z ręki urzędnika naprzeciw stojącego. Jak się te zwiedzania skończyły, zamknięto klejnot razem z drugiemi w skarbcu; ten wkrótce okradzionym został i złodzieje uszli przed wszelkiemi poszukiwaniami. Dopiero po niejakim czasie list anonim doniósł, że część klejnotów zakopana jest w pewnem miejscu. Skopano całą ulicę *Des veuves* i znaleziono rzeczywiście kilka sztuk, między któremi i *Regenta* którego zapewne zbyć było trudno. Większa część skradzionych klejnotów była wykupioną przez Napoleona I, skoro tylko mógł na ich ślad natrafić.



Umaczała pióro w resztce pozostałego w kałamarzu atramentu i zabrała się do pisania. (str. 179).

Największy ze znanych djamentów należy do Rajasa wyspy Borneo; waży on 300 karatów. Jest znowu drugi bardzo ciężki ale nie tak piękny djament, znany pod nazwiskiem *Wielkiego Mogoła*.

Orlów z korony rossyjskiéj waży 194 karaty.

Wielki Książe, własność Toskanji waży 139.

Kompanja Indyjska podarowała królowéj Wiktorji piękny djament, będący niegdyś własnością królów Indji. Nazwany jest *Koh i noor* (góra światła).

Te wszystkie kamienie pochodzą z Indji, Brazylja wydała tylko dwa djamenty niepospolite. Jeden należy do korony portugalskiéj, a drugi nazwany *gwiazdą południa* ważył w stanie surowym 254 karaty, a 125 po oszlifowaniu.

Dotąd djament był tylko przedmiotem zbytku, a użyteczność jego w krajaniu szkła i szlifowania była bardzo ograniczona.

Lecz teraz rzecz się ma inaczéj. Widzieliśmy wprawdzie starożytne urny assyryjskie i egipskie wyrobione z porfiru i granitu z rzadkim połyskiem, jednak nikt nie wiedział w jaki sposób to otrzymanem zostało, gdyż najtwardsza stal tępiła się o te niesłychanie twarde kamienie. Prosty robotnik Bigot du Maine pochwycił tajemnicę z czasów Faraonów i teraz już w czasie wyrabiania takich naczyń używają djamentu, który osadzony jest na narzędziu stalowem i przyciska się do naczynia w czasie jego wyrobu na podobieństwo toczenia. Porfirowa urna na Napoleońskim grobie u Inwalidów i fontanna z granitu sześć metrów wysoka, na polu Elizejskiem, są tak szlifowane. Sposób ten znalazł swoje zastosowanie nawet w gospodarstwie domowem, w zakładach bowiem czekolady mają granitowe żarna szlifowane, zamiast dawniejszych z lanego żelaza.

Ten pomysł zrodził nowy; zaczęto też używać djamentu do przebijania skał najtwardszych w r. 1862. Sposobu tego używają z powodzeniem przy przebijaniu tunelów na drodze żelaznéj. Używany jest do tego djament czarny daleko tańszy, niezdatny do szlifowania, którego cena zaledwie od 20 do 25 fr. karat wynosi. Ostatecznie wyjęty z przyrządów, (2) gdy do nich

(2) Przyrząd Pihet'a składa się z rury żelaznej, u brzegu któréj jest osadzony rodzaj pierścienia nabijany djamentami. Tę rurę żelazną wprawia się w ruch wirowy i naciska się ją do skały za pomocą prassy hydraulicznéj, która się tu okazała najpraktyczniejszą. W pustéj rurze pozostaje część wyświdrowanéj skały, którą potem z łatwością rozbijają oskardami. Piętnaście takich przyrządow już jest w ruchu z wielkiem powodzeniem.

już nie zdatny, bywa jeszcze sproszkowanym do szlifowania innych djamentów.

Łono ziemi zawiera w sobie także węgiel kamienny zwany czasem węglem ziemnym. Wartość jego w porównaniu z wartością djamentu jest małą zapewne, a jednak więcéj znaczą dla każdego kraju kopalnie węgla, niż bogate miny Golkondy i Bahji, każdy kraj bowiem wtedy tylko jest swobodny i wielki, kiedy ma u siebie rozwinięty przemysł; a niema przemysłu bez paliwa, najlepszem zaś paliwem jest węgiel.

Lubo djament wielkości tych okruchów, jakie z węgla rozsypują się bez szkody, na krocie się płaci, dochody z kopalni djamentów, są bardzo małe, w porównaniu dochodów jakie dostarczają kopalnie węgla. Węgiel kamienny sprawia nam jeszcze jedną z tych niespodzianek, jakie zdają się być cechą naszéj epoki. Materjał ten tak pospolity, dostarcza od lat kilku najprzepyszniejszych farb, używanych w sztuce i przemyśle. W czasie wyrabiania gazu do oświetlania pozostaje zwykle wiele żywicznych, czarnych, brudzących materji, które dawniéj zawadzały w fabrykach, dzisiaj zaś już znaleziono sposób zużytkowania ich w przyrządzaniu różnych odcieni farb: fijałkowych, niebieskich, zielonych, żółtych, których od lat kilku zrobiono najmniéj za 25 miljonów franków. «I tak djament, który był tylko przedmiotem zbytku i fantazji, przedmiotem najpiękniejszym pomiędzy nieużytecznemi, zastosowany do wiercenia skał, stał się przedmiotem nie-



Sala fabrykacji cygar, w fabryce królewskiéj w Sewilli. (według rysunku Dore'go).

zaprzeczonego użytku. Nawzajem węgiel, pierwiastkowo tylko użyteczny, dziś współzawodniczy z djamentem w rzeczach mody i elegancji, i tak samo jak pozornie różniąc się, właściwie są jednem i tem samem, tak też spotykają się w zastosowaniach w dziedzinie piękna i pożytku. Jest to uderzający obraz naszego dzisiejszego społeczeństwa, gdzie się wszystkie nierówności zacierają, gdzie człowiek zrodzony w bogactwie zamiast się zamknąć w gnuśnéj bezczynności, jak to było niegdyś obyczajem bogatszych, ma sobie za zaszczyt, gdy się może odznaczyć pracą i osobistą zasługą; i nawzajem ten, co z łona ubóstwa wyszedł, robi nieustające usiłowania pracą i nauką, aby się z tamtym zrównać."

W tym samym prawie czasie, kiedy p. Riche miał na jednym z wieczorów w Sorbonie powyższy wykład o djamencie i węglu kamiennym, któryśmy prawie w dosłownem tłomaczeniu przytoczyli naszym czytelnikom, górnik p. Simonin na zgromadzeniu towarzystwa rolniczego paryzkiego, przemawiał w następujący sposób: „Zdaje mi się, że będę zrozumianym przez wszystkich, gdy nazwę węgiel czarnym djamentem, o tym to bowiem klejnocie chcę mówić, klejnocie stokroć drogocenniejszym od téj jego odmiany, którą w handlu rzeczywiście czarnym djamentem zowią; chcę mówić o tym djamencie, którego na miljardy co rok się rozchodzi, podczas kiedy zaledwie kilka miljonów przynosi eksplotacja drogiego kamienia, w który się stroją nasze panie. Mojem zadaniem będzie wykazać ważność jaką nabył węgiel kopalny i wielkie przewroty, jakie zrządził w społeczeństwie naszego czasu. Nazywam więc czarnym djamentem węgiel kamienny, gdyż porównywając cyfry dochodu z djamentu i węgla, widzimy, że to ten ostatni jest prawdziwie drogocennym przedmiotem. Z niego czerpiemy światło, które oświeca nocami nasze miasta, ciepło naszych ognisk, motory naszych zakładów przemysłowych, czerpiemy siłę, parę. Gdzie tylko widzimy machinę, możemy być pewni, że tam jest i węgiel. Z tego węgla powstaje ruch, za jego pomocą biegnie lokomotywa; prześliczne kolory, które zdobią ubiory kobiet, niebieski mexykański, hawanna, solferino i t. p. powstały z części żywicznych węgla niegdyś bezużytecznych, które dziś przynoszą dochód nie mały. Sławny kwas fenelowy, który ma własność zasuszania ran i chroni je od gangreny, wyrabia się także z węgla. Nie potrzeba zdaje się nic więcéj powiedzieć, aby wykazać jak pod względem przemysłu, za pomocą niektórych zastosowań chemicznych, ważną rolę odgrywa węgiel.

Pragnę teraz zapoznać was z temi miastami podziemnemi, z których go wydobywają, z tem pełnem zasług życiem górników, którzy odważnie spuszczają się w przepaście i walczą—żołnierze podziemni, przeciwko nieprzyjaciołom tem straszniejszym, że ukrytym, a temi są: obrywania się sklepień kopalni, zalewy wód i wybuchy.

Ale zacznijmy od początku, powiedzmy najprzód historję węgla; zaczyna się ona bardzo dawno, wraz z narodzinami świata, wtedy kiedy ziemia była ogromnemi lasami pokryta i wyglądała, jakby zbiorowisko archipelagów. Temperatura wtedy była bardzo wysoka, powietrze przesycone parą i kwasem węglowym, a wśród takich warunków rozwijała się bujna, przepyszna, niepojęta dziś roślinność. U stóp wielkich rozmiarów drzew, rozścielał się olbrzymi kobierzec roślin wodnych, plączących się z sobą, kładących się pokotem jedne obok drugich, w téj strasznéj ciasnocie. A w tem napływały wody przynosząc piaski i gliny różnego rodzaju; roślinność znikła powoli z powierzchni, i w owem wielkiem gorącu rośliny się rozkładały, stawały się mineralnemi i przygotowały ów węgiel znany późniejszym pokoleniom. Nie będę obliczał ile tysięcy lat od tego czasu nas oddziela, nie będę dochodził jak długo trwało tworzenie się węgla, dosyć jest sam fakt stwierdzić, fakt, który się powtarza jeszcze dzisiaj w krajach wilgotnych w tworzeniu się torfu. Był tam jeszcze inny fenomen w połączeniu z pierwszym, że do stężenia pokładów górnych, przyłożył się rozkład spowodowany przez wielkie gorąco ziemi; może tam jeszcze było co innego, czegośmy się jeszcze nie dowiedzieli, ale pojęcia jakie dopiero co wyłożyłem o tworzeniu się węgla, są dziś powszechnie przyjęte w nauce. W warstwach wyższych nad pokłady węgla, znajdujemy drugie pokłady paliwa utworzone późniéj, ale mniéj już rozległe, mniéj czyste. Znać już w nich roślinność różną, nie widać owych paproci olbrzymich, które przed wiekami okrywały ziemię, lecz ta roślinność zbliża się do naszéj dzisiejszéj i w miarę jak się zmienia flora, zmienia się też gatunek i ilość paliwa. Nie śmieją go już geologowie nazwać węglem kamiennym, ale *lignitem,* chociaż na pierwszy rzut oka przypomina węgiel kamienny, ale jak już mówiłem, węgiel to coraz mniéj czysty, aż nareszcie postępując wyżéj przychodzimy do naszch dzisiejszych torfowisk.

(D. n.)

NAJPOSPOLITSZE SAMOBÓJSTWO.

Załączony tu rysunek Dorego wyobraża salę robienia cygar, w królewskiéj fabryce tytuniu w Sewilli, gdzie do czterech tysięcy kobiet jest zajętych. *Cygarery*, tak je bowiem nazywają, przyniosły z sobą śniadanie, obiad i małe dzieci, która je ma, gdyż siedzą w zakładzie przez dzień cały, a wieczorem wychodząc, podlegają ścisłemu poszukiwaniu pokonanemu przez nadzorczynie, czy która nie unosi z sobą wyrobu z aromatycznego liścia Hawanny lub Wirginji, ukrytego bodaj w warkoczu. A więc biedne ich dzieci już w kolebce przyzwyczajają się oddychać powietrzem, jakie podróżni, zwiedzający fabrykę, zaledwie przez krótką chwilę znieść mogą, doznając zawrotu i bólu głowy oraz mdłości.

Cygarery zaś już nawykły do tego; gdzie tam biednemu myśleć, co przyjemne lub nieprzyjemne, co zdrowe lub trujące, kiedy daje chleb. Jednak jak szypko biegną ku drzwiom wchodowym gdy godzina kończąca roboty wybije, jak wesołym śpiewem brzmią ich piersi świeżego powietrza spragnione.... Tu się nastręcza pytanie: czy wpływ jaki wywiera ta robota na zdrowie pracujących, nie zmniejsza, albo może nawet nie niszczy dobrodziejstw materjalnego utrzymania, jakie im zapewnia?

Wiadomo że wszystkie fabryki, jako też i wszystkie zajęcia społeczne rujnują prędzéj lub późniéj organizm człowieka, nadają pracującym w tych fabrykach pewne piętno tak wybitne, iż to pozostawia na ich organizmie niezatarte ślady, do tego stopnia charakterystyczne, że medycyna sądowa uważa je za znak jeden z ważniejszych, przy dochodzeniu tożsamości osoby, nawet po śmierci. Niektóre z tych zajęć sprowadzają uparte i niebezpieczne choroby, czyli inaczéj mówiąc *zatruwają powolnie*; do rzędu takich należą: fabrykacje w których używane są przetwory ołowiu, lub fosforu jak np: fabryki polew i farb malarskich, fabryki zapałek; inne zatruwają daleko szybciéj organizm i zmusiły prawodawców do polecenia zmiany sposobu fabrykacji. Wiele z nich jest cierpianych do dziś dnia, bo korzyści, jakie oddają społeczeństwa przewyższają szkody jakie mu czynią, są więc tolerowane, dopóki się coś lepszego nie wymyśli.

Z takiego stanowiska spojrzeć chcemy na fabryki wyrobów tytuniowych; zastanowić się nad coraz bardziéj rozpowszechniającym się paleniem tytuniu, które już zawładnęło świat cały i na coraz większą rozszerza się skalę.

Tytuń nie dawno wprowadzony został do Europy; są to pokrajane liście rośliny zwanéj *nicotiana tabacum*, mająca wspólną ojczyznę z najzjadliwszemi truciznami. Niepomiarkowane użycie jéj w Europie datuje od początku bieżącego stulecia, a dopiero w 1809 r. poszukiwania ścisłe Dra Vauquelin dostarczyły szczegółowych danych dotyczących własności wspomnianéj rośliny. Jednakże już dawniéj wiedziano o niéj i baron Yvan wydał w r. 1693 w Paryżu bardzo ciekawą książeczkę napisaną w 1667 r. w któréj opisuje jéj własności. Autor ten zalicza ją do bezwarunkowo trujących i powiada między innemi: „Niektórzy, chcąc dowieść że jest trującą, robili doświadczenia nad małą ilością mocnéj essencji z tytuniu, która została sprowadzona niedawno z Florencji do Paryża i któréj kropla puszczona na miejsce rozranione na skórze, sprowadziła śmierć w oka mgnieniu.” Bądź co bądź własności téj rośliny mało były znane aż do najświeższych prac Barral'a i Schloesing'a, tak mało znane, że do r. 1851 niektórzy z chemików uważali te essencję, jako produkt niezmiernie ciekawy, trujący już w bardzo maleńkich ilościach i trudny do przechowania. Ogromny postęp chemji organicznéj, a przedewszystkiem liczne prace przedsięwzięte nad essencją tytuniową w pracowniach fabryk tytuniu w Paryżu, uzupełniły wiadomości nasze o własnościach nikotyny. Jednak wszystkie wiadomości były niedokładne aż do r. 1850, w którym miała miejsce głośna zbrodnia otrucia Gustawa Fougnies przez hr. Bocarmé. Badania sądowe zmusiły do dokładnych poszukiwań i prace znakomitego chemika belgijskiego p. Stas dostarczyły bardzo wiele dokładniejszych o niéj wiadomości. Od czasu prawie dokonania wspomnianéj zbrodni, palenie tytuniu zrobiło niesłychane postępy, przyznać można, że się stało tak powszechne, jak komsumcja najniezbędniejszych materjałów żywności. Pojawiły się w dziennikach liczne zdania za i przeciw jego użyciu, różnią się one od siebie pod wieloma względami, jednakże to szczególna, iż nikt nie dowodził, ażeby użycie tytuniu było albo niezbędnem, albo potrzebnem do utrzymania zdrowia, lecz przeciwnie, wszyscy się zgadzają, iż jest szkodliwem, a jeżeli różnią się z sobą, to tylko pod tym względem, iż jedni uważają tytuń za mniéj, drudzy za więcéj szkodliwy.

Istotą szkodliwie działającą na zdrowie w tytuniu jest *nikotyna*; produkt identyczny ze strychniną, brucyną i wielu im podobnemi preparatami, i nikt nie zaprzeczy, iż jest, tak jak one wszystkie, szkodliwy i trujący; reszta istot wchodzących w skład tytuniu

zachowuje się mniéj więcéj obojętnie względem organizmu; są tam sole mineralne, białko, materje extraktywne i t. d. Nikotyna więc działa na organizm i dostaje się do niego w zwyczajnych okolicznościach jedną tylko drogą: przez oddychanie, ale pod dwiema formami: albo pod postacią dymu, który jest pozbawiony wielu części składowych rośliny, ale obfituje w nikotynę, lub też pod postacią proszku wydobywającego się przy kruszeniu liści tytoniowych w fabrykach tabaki i cygar.

Jednym i drugim sposobem szkodzi zdrowiu i pomimo prac Mélier'a i Parent-Duchatelet'a, nie możemy się zgodzić na to, iżby nie wywierał żadnego wpływu szkodliwego na zdrowie pracujących, ale możemy przyznać, nawet z naszych własnych spostrzeżeń, że jest daleko mniéj szkodliwym, aniżeli wdychanie nikotyny pod postacią dymu tytuniowego.

Ażeby uwagi nasze uczynić nieco dokładniejszemi, zmuszeni jesteśmy zastanowić się nieco nad sposobem działania dymu tytuniowego na organizm. Dym ten działa nań dwojako: jako dym i jako nikotyna. Jako dym, drażni kanał oddechowy i powieki, nic przeto dziwnego że osobom skłonnym do kaszlów i zapaleń oczu, szkodzi jak każdy dym lub kurz; ale bynajmniéj nie wywołuje chorób piersiowych u osób zupełnie zdrowych. Jako nikotyna, działa na wszystkie organizmy i wywołuje, mniéj lub więcéj szybko, mniéj lub więcéj groźne objawy zatrucia, dochodząc bezpośrednio, jak każdy gaz, do naczyń krwionośnych, czy to płuc, czy też jamy ustnéj, a przez krew działa na system nerwowy, przeważnie zaś na mózg.

Wprowadzona do żołądka pod postacią wygotowania liści, albo proszku, (jak tabaka), w kilka minut, w 2—7, wywołuje zawrot głowy, niezmiernie gwałtowne bóle brzucha i niczem prawie niepowstrzymane wymioty.

Twarz niezmiernie blednie, indywidua wpadają w pewien rodzaj osłupienia, z którego za chwilę wychodzą, wydając przeraźliwy krzyk i wpadając w konwulsje. Oddychanie ich staje chrapliwe i umierają w ciągą 20 minut. W niektórych okolicznościach objawy nie są tak przerażające, zawsze jednak przychodzi ból głowy, mdłości, zziębnienie, bladość, zwolnienie pulsu, otępiałość ogólna, upadek sił, trwający kilka godzin, a nawet kilka dni, w ciągu których powoli ustępuje. Takie to są objawy zatrucia tytuniem, gwałtowne, przy wprowadzeniu go do żołądka pod formą odwaru albo wielkiéj ilości tabaki; przypatrzmy się teraz jakie zachodzą objawy w organizmie ludzi palących tytuń, objawy, które starannie obserwowałem na kilkunastu indywiduach od r. 1863 t. j. od chwili, w któréj u nas poruszano tę kwestję w pismach lekarskich.

Ze wszystkich moich obserwacji mogę wyciągnąć następujące wnioski: 1. że palenie tytoniu działa na wszystkie organizmy szkodliwie, tylko na jedne prędzéj, na drugie wolniéj, na tamte mocniéj, a na te słabiéj, powtóre, że daleko prędzéj, daleko gwałtowniéj, wywołuje chorobliwe przypadłości u osób delikatnych, nerwowych i w ogólności osłabionych, po trzecie: że daleko prędzéj i gwałtowniéj działa, kiedy się pali tytuń na czczo, aniżeli po jedzeniu, daleko szybciéj działa na osoby mało jedzące, aniżeli na dużo jedzące.

Wszystkie te względy są ważne, widzimy bowiem wszystkie klassy społeczeństwa palące tytuń, począwszy od osób opływających w dostatki, aż do nędzarzy, daléj, począwszy od osób w pełnéj sile wieku, aż do dzieci; widziałem bowiem sześcio i czteroletnie dzieci palące papierosy! a zdarzyło mi się bardzo rzadko spotkać palących 70 i 80 letnich starców. Zkąd to pochodzi? niewątpliwie ztąd, że ta miła roślinka, dopiero w obecnem stuleciu została u nas rozpowszechniona i to uwagi godne, że najbardziéj weszła w użycie, pod najrozmaitszą postacią, od r. 1851, od czasu Wystawy Londyńskiéj i zbrodni dokonanéj w Bruxelli.

Objawy zatrucia które obserwowałem, były podobne do tych które przytoczyłem powyżéj, mówiąc o bezpośredniem zatruciu. Ktokolwiek pali przyzna wraz ze mną, że zaraz, po kilku pociągnięciach cygara lub fajki, napada go zawrót głowy, większy lub mniéjszy, stosownie do mocy tytuniu i przyzwyczajenia; ale z przyzwyczajeniem do tytuniu rzecz się ma tak samo jak z przyzwyczajeniem do kawy lub do napojów wyskokowych: do jednéj i do drugich nasze społeczeństwo dosyć jest nawykłe, a jednakże każdy mi przyzna, jeżeli tylko zechce uważnie się badać, że po wypiciu mocnéj kawy, nawet herbaty, szczególniéj gdy się kilka dni z jéj użyciem pauzowało, uczuwa się nagle niepokój, przyśpieszenie bicia serca, trudność w oddychaniu, co powoli przechodzi. Objawy te u palących spostrzegałem szczególniéj, gdy palili na czczo, widziałem je częściéj w czasie postu 40 dniowego, albo po hulankach karnawałowych, pojawiały się także bóle żołądka i djarje; ale najważniejsze objawy, na które tu chcę zwrócić uwagę, są: zawrót głowy, trudność zebrania myśli, niepokój, szybki upadek na siłach, a co najgorsza, w wielu razach przyćmienie wzroku i ogłupienie (*hebetudo*). Obserwowałem jednego ubogiego człowieka, który wpadł w takie ogłupienie, z powodu nadmiernego użycia tytuniu, iż mu trudno było najprostszéj rzeczy zrozumieć.

Na czynione sobie pytania otwierał zdumione oczy, usiłując schwycić wątek myśli, które plątały mu się w głowie. Domyśleć się łatwo, że tu mózg cierpi, a ztąd wyprowadzić trzeba wniosek, że i wzrok cierpić musi; tembardziéj upoważnieni jesteśmy do takiego sądu od czasu najnowszych prac francuzkich, niemieckich i hollenderskich, do których przyłożyli się i nasi rodacy, że cierpienia mózgu ważny wpływ wywierają na organ wzroku. Rozumie się, że u osób, których władze umysłowe są silnie rozwinięte, takiego ogłupienia nie rychło się doczekamy,lecz rozdrażnienie i popsucie wzroku prędzéj znowu u nich występuje; ale i takich słyszałem skarżących się na niemożność zebrania myśli, na utratę pamięci.... Tak jest, całe społeczeństwo się truje, niszczy swe najżywotniejsze siły i przyznać trzeba, że bynajmniéj nie robi tego bezwiednie, lecz rzecz szczególna, że lubo nałóg do tytuniu jest tak podobny do nałogu używania napojów spirytusowych, do pijaństwa nikt prawie przyznać się nie chce, do palenia każdy się przyznaje, ale większa część palących dowodzi najusilniéj, że im ten nałóg nie szkodzi; obwiniają wszystko: zatrudnienia swoje, domowe pożycie, zgryzoty, przyznają się do obżarstwa starają się przekonać lekarza, że im kawa lub herbata szkodzi, przyrzekają nie patrzeć na to wszystko, ale palenia tytuniu nikt się nie wyrzeka. Jest to pewnego rodzaju pijaństwo, tylko że się tak wyrażę w *dobrym tonie*. Dla czegóż się tak trudno wstrzymać od palenia tytuniu? dla tych samych powodów, dla jakich trudno pijakowi wyrzec się wódki, a ztąd taki wniosek, że jedno i drugie oczywiście działa na systemat nerwowy, jedno i drugie wchodzi w *nałóg*, w przyzwyczajenie i sprawdza przysłowie: *l'homme est un animal d'habitude*.

Idzie więc głównie o to, aby nie dopuścić nałogu, czuwać nad sobą czy nad drugiemi, których zdrowie i wartość moralna na naszéj leży odpowiedzialności. Tego czynić nie może policja lekarska, ona bowiem dotąd usuwa z użycia to tylko, co jest bezwarunkowo, w małéj dozie trujące, co koniecznie prowadzi do kalectwa, albo natychmiastowem zniedołężnieniem grozi, ale tak powolnem, zaledwie widocznem zatruwaniem się indywiduów zajmować się nie może policja lekarska. A tu tymczasem dorastające młode pokolenie powiada: Palą wszyscy starsi, więc to musi być dobre i niepuszczając z ust kłębów dymu nie można być dojrzałym mężczyzną. Dziewczyny przestrzegają; panienkom to nie uchodzi! ale chłopcy już dawno słyszeli, że: *mężczyznom wszystko wolno*, więc idzie biedna owca jak w wielu rzeczach tak i w tem za gromadą, a nikt go nie utwierdza w téj wierze, że człowiekowi chcącemu być tego miana godnym, wolno tylko to, co sprawiedliwe i rozumne. Jakże rodzice wywiązują się tu ze swych obowiązków? ojciec zwykle bardzo wyrozumiały, bo sam za hawańskim dymkiem przepada, ale matka, która często ma wstręt do niego, dla czegóż synowi palenia zabronić nie może czy nie umie?... Odpowiedź łatwa, dla tego, że mu nie dosyć imponuje zdaniem swojem. Nie łudźcie się panie moje, inaczéj szanowana jest matka dla tego tylko że matka, a inaczéj wtedy gdy syn już był w stanie osądzić, że rodzicielka jego, to człowiek myślący i rozumny; nie powie że „mama ot tak sobie gada, zwyczajnie jak kobieta" gdy matka dowodzenia jego młodéj zarozumiałości potępi dowodami opartemi na logice, na faktach niezbitych, gdy to co powie będzie głębszego zastanowienia się wynikiem a naukowemi wiadomościami poparte.

Zatem słowami rozumnemi matki, spotęgowanemi jéj uczucia siłą, mogłoby się ocalić nie jedno życie, uchronić od zniedołężnienia nie jeden obiecujący umysł.

Grzechem jest względem społeczeństwa, nie oddać mu procentu z całkowitych swych sił i zdolności i dla tego to śmiało samobójstwem nazywamy. Droga do niego wprawdzie tak wesoła, pierwsze cygaro, jako niby patent dojrzałości, takie powabne, choć mdłości sprawia; potem palenie w wesołych koleżków gronie jest tak towarzyskiem, jakby szczerego braterstwa znakiem, aż tu daléj robi się często z młodego chłopca to co zwą: palacz namiętny. Patrzcie na niego, gdy nie pali jest smutny i nic mu nie idzie. Gdy pali nie wiedzie mu się lepiéj, tylko taki zamyślony wygląda, że i jemu się zdaje że myśli, tylko nieszczęściem z tych myśli nie widać żadnego rozumnego owocu.

Powie kto może, że byli ludzie wielkich zdolności i działalności umysłu niesłychanéj, co palili wiele tytuniu na zdrowiu nie szwankując, my jednak będziem twierdzić uporczywie, że to są rzadkie wyjątki.

Może nam ktoś także zarzuci przesadę, gdy powiemy, że kobiety nie palą tytuniu, a mówimy to dla tego, że według naszych obserwacji, są to chore (histeryczki), albo też tak mała liczba, która z próżniactwa wpadła w nałóg mężczyznom właściwy, że o nich wspominać nie warto. Nie widzimy więc potrzeby deklamować w tem miejscu jak to *nie pięknie* gdy kobieta pali, bo nam nie o piękność, ale o zdrowie idzie.

Gdybyśmy zdolni byli obliczyć skutki tych wpływów powolnego zatruwania się i rozdrażnień jakie ono sprawuje, kto wie jak głęboko widzielibyśmy je wkraczające w obyczaje, w pożycie domowe i szczęście rodzin, w występki, i inne klęski rozliczne jakie ludzkość trapią. *Dr Dobieszewski.*

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Juljusz Simon w tem wszystkiem co pisze, wskazuje zawsze jakieś nieszczęście społeczne i sposoby zaradzenia plagom trapiącym ludzkość. Temi zacnemi dążnościami tchnie każde jego pismo: *Robotnica, Szkoła, Praca* są to wszystko dzieła pełne szlachetnéj śmiałości, w których autor wskazuje bez ogródki, gdzie jest gangrena tocząca ciało społeczne. Taką samą publikacją, którą jeden francuzki sprawozdawca nazwał „wojującą," jest ostatnie jego dzieło pod tytułem: *Robotnik ośmioletni*, zarówno zasługujące na uwagę i paklask ludzi myślących wszystkich krajów. U nas gdzie przemysł nie rozwinął się jeszcze w całym swym ogromie, nie widzimy odwrotnéj strony tego tak świetnego medalu; nie mając fabryk i wypływających z nich licznych korzyści bogactwa, nie patrzemy też na tę nędzę straszną i straszniejsze jeszcze zepsucie, jakie obok nich się rodzi. Czyż idzie zatem, abyśmy się stali przeciwnikami rozwinięcia zakładów fabrycznych? Bynajmniéj, uczmy się tylko u drugich jak uniknąć klęsk, które się czepiają do świetnego rydwana przemysłowych powodzeń. Dobrze ktoś powiedział, że celem społeczeństwa nie jest tylko same bogactwo, a chociażby owe wczesne używanie dzieci do robót miało sprowadzać zamożność, to moralność odezwie się, że to się nie godzi, a ekonomja polityczna powie, że to szkodliwe dla kraju. Gdy powiększenie czynników pracy jest przeciwne wyższym celom, jak produkcja bogactw, nie trzeba ich używać.

Przez te wyniszczanie ludności już w samym zarodku, Francja dziś cierpi na brak robotników rolnych. Los matek w zawodzie przemysłowym, który już wykazał Simon w „*Robotnicy*" wpływa na zdrowie i pomyślność dzieci. Nędzne dziecko chorowitéj matki zapędzone do roboty w ósmym roku życia, gdzież ma czas na szkołę, na przechadzkę tak dla jego wzrostu potrzebną? Jakże jest żywione u ubogiego stołu swych rodziców, czy ma wygodne łóżko, ba! czy nawet ma jakiekolwiek posłanie?.... Simon w drgających prawdą słowach, wykazuje to nieszczęsne położenie, trudność kształcenia się, łatwość zepsucia moralnego stwierdza statystycznie. Przerażającemi obrazami pragnie zbudzić uwagę społeczeństwa, aby je znaglić do położenia takim plagom tamy, przez stosowne urządzenia.

Femmes studieuses et femmes savantes. Kobiety oddające się nauce i sawantki, tak zdaje się można spolszczyć tytuł świeżo napisanego dziełka przez X. Biskupa Dupanloup, który wziął za punkt wyjścia słowa napisane niegdyś przez De Maistre'a do córki Konstancji: „*Kobieta chcąca współzawodniczyć naukowo z mężczyzną jest tylko małpą.*" Najmniéj sprzyjający wykształceniu kobiet człowiek, wyznać musi, że De Maistre w rozdrażnieniu swojem, chcąc skarcić naukowe zachcianki córki, przeszedł granicę sprawiedliwości i prawdy. Nietrudno jest Biskupowi Dupanloup dowieść, że niebezpieczeństwo dla kobiet leży właśnie w kierunku nie naukowym ale płochym ich wychowania. Wymowny pisarz zapytuje dla czegoby kobieta nie miała prawa do nauki, i twierdzi, że jest jéj obowiązkiem rozwijać wszystkie zdolności, jakie podobało się Bogu złożyć w jéj umyśle. Nie na cacko bowiem, ale na towarzyszkę mężczyzny stworzona. „Boicie się pychy, pyta autor, a czyż ona nie jest stokroć gorsza, kiedy ma za cel piękność i stroje i czyż sądzicie, że nieuctwo jest najlepszą rękojmią niewinności? Bądźmy pewni, że umysł wykształcony najjaśniéj pojmuje obowiązki i wyradza skromne o sobie rozumienie, chroniące od wszelkiéj pedanterji."

Miło nam, że i ten głos poważny przyłączył się do coraz głośniejszego wołania o gruntowniejszą dla kobiet naukę i spodziewamy się, że ta książka, pełna życia, dowcipu i trafnego sądu, będzie w ręku wszystkich matek, pojmujących obowiązki, jakie wkłada na nich chwila dzisiejsza, radykalnego przekształcenia edukacji dziewcząt. Na Boga! dosyć już mamy wirtuozek, francuzki akcent, zaszczepiony aż nadto dobrze kosztem rodowitego języka, ale trzeba nam rozumowania, aby podparło w każdéj trudniejszéj chwili, rozsądku téj wybornéj życia skazówki,—słowem tego ładu w głowie, który się zarazem i w postępkach wyraża, a który niesłusznie francuzi nazywają *sens commun*, bo wcale nie jest pospolitym.

DWIE POTĘGI

Opowiadanie przez Ludwikę Mühlach.—Przekład z niemieckiego przez K. R...

(Dalszy ciąg).

II.

Piękna Gudula.

Dwanaście lat upłynęło od śmierci matki Mayer Anzelma. Dwanaście lat bogatych w historyczne wypadki — we wstrząśnienia i burze świata.

Krwawa siedmioletnia wojna przepełniła ziemię niemiecką nędzą i biedą;—ona to zabrała Marji Teressie jéj ukochany Szlązk i oddała w ręce — *złego człowieka* — darząc Prussy nową prowincją, a jéj króla, Fryderyka drugiego wiekopomnym przydomkiem— Wielkiego.

Postać całych Niemiec zmieniła się w przeciągu ostatnich lat dwunastu, tylko na starem żydowskiem mieście we Frankfurcie zostało wszystko po dawnemu. Stały tam u wejścia te same śpiżowe filary z wiecznie zabłoconemi wrotami, te same nizkie, bardziéj tylko w ziemie zapadłe domki znaczyły ulice, napchane żydami. Po dawnemu panował w tych ciemnych ulicach nielad i zabiegi codziennego życia. Dawnym zwyczajem słychać tam było krzyki i hałas bawiących się, na brudnych podwórkach dzieci, których głośne śmiechy odbijało echo w sąsiednich domach.

Słowem ubiegłe lat dwanaście niewywarły żadnego wpływu na to miasto żydowskie, prócz tego, że darząc dorosłych kilku zmarszczkami na czole, porobiły z nich starców, a dzieci doprowadziły do pełnoletności.

Mayer Anzelm wyrosł na silnego i zdrowego młodziana, miał lat 22, a mała Gudula licząc sobie lat 18, była śliczną, wysmukłą, delikatną a przytem królewsko-wspaniałą dziewicą.

Jéj ubior ubogi stroił jednak jéj kibić kształtną; jéj krucze włosy, przepasane czerwoną przepaską, otaczając jéj czoło grubym splotem, tworzył na jéj głowie rodzaj korony, doskonale przypadającéj do jéj białego czoła, do jéj ciemnych, ognistych, dumnie patrzących oczu, do jéj szlachetnych rysów twarzy z blado przezroczystemi policzkami i do jéj koralowych usteczek.

Pewien malarz ujrzał ją przypadkiem w takim stroju gdy szła przez miasto; zachwycony pogonił za nią na żydowską ulicę, do jéj domku, w którym ona z ojcem mieszkała.

Dumnie i badawczo spojrzała na niego, jakby pytając, czego ten człowiek od niéj żąda, kiedy za nią aż do jéj mieszkania pogonił; lecz obaczywszy pokorną postać artysty. chętnie się zgodziła za pozwoleniem swego ojca, służyć mu za wzór do wielkiego obrazu.

Z początku chciał ją artysta przedstawić jako Judytę z głową Holofernesa w ręku, lecz lepiéj zgłębiwszy niezwykłą piękność żydowskiego dziewczęcia, osądził słusznie że tu na nic nie zdały się dekoracje i różne dodatki, więc odmalował ją tak jaką była w rzeczywistości, to jest zwyczajną Gudulą, w biednem ubraniu, z koroną czarnych włosów i z czerwoną przepaską na głowie.

Portret ten wystawionym był w wielkiéj sali, i cały Frankfurt, i wielu obcych go podziwiało; aż nareszcie kupił go za wielką summę, Landgraf Wilhelm von Hessen, i odwiózł do swojéj rezydencji, do zamku w Hanau.

Od téj pory zasłynął i oryginał tego portretu; każdy mieszkaniec Frankfurtu znał piękną Gudulę—tak, iż skoro pokazała się na ulicy, chłopcy uliczni biegali za nią wołając:—Oto piękna Gudula—żydowska królewna!

Wielu też z przedniejszéj młodzieży, lub bogatych obywateli miasta, którzy przedtem nigdyby niezajrzeli na żydowską ulicę, dziś przybywali tam, by odszukać piękną Gudulę pod pozorem jakiego bądź interesu do jéj ojca.

Lecz ona odpychała wszystkich, zarówno znakomitych jak i bogatych wielbicieli, jednostajnem, dumnem i chłodnem przyjęciem, niedozwalając nikomu z nich zbliżyć się do siebie, tak że każden, będąc raz tak przyjętym, niechciał już po raz drugi probować szczęścia koło pięknéj Guduli.

Nawiedzali wprawdzie dom jéj ojca ludzie ze szczeremi zamiarami, między któremi też nie brakło synów przedniejszych obywateli miasta, którzy byleby tylko zgodziła się przyjąć chrzest, ofiarowali jéj swoją rękę wraz z majątkiem. W takich razach jéj ojciec, wierny przestrzegacz wiary swych przodków, mile patrzał na to, że jego córka odrzucała z pogardą wszelkie podobne propozycje.

Lecz dzisiaj rzeczy stały wcale inaczéj. Przybył bogaty żyd, kupiec z Hanau, prosząc o rękę pięknéj Guduli, jednak i jemu dała odmówną odpowiedź.

Tą razą podobna odpowiedź niezgadzała się z widokami ojca, owszem wywołała jego największy gniew. Gudula pokornie nachy-

liła się nad swoją robotą, jakby chciała dać spokojnie przejść téj burzy. Lecz burza nieustawała, pioruny ojcowskiego gniewu biły ciągle w jéj biedne serduszko, aż nakoniec wielkie krople łez potoczyły się z jéj ślicznych oczu.

Opuściła robotę na kolana i wpatrywała się z błagalnym wyrazem w ojca, siedzącego naprzeciw niéj, na skórzanym fotelu.

— Ojcze, rzekła z prośbą, kiedy ty mnie tak łajesz, chce mi się płakać, a kiedy płaczę, nie mogę szyć. A wiesz że muszę skończyć tę robotę i odnieść ją jeszcze dziś wieczór hrabinie Tettenborn. Jest to bardzo wymagająca dama; musiałam jéj przyrzec, że wykończę tę robotę dzisiaj koniecznie, a gdy nie dotrzymam słowa, więcéj mi już nie powierzy żadnéj.

— Gdybyś przyjęła rękę bogatego Nathana, niepotrzebowałabyś pracować, krzyczał ojciec. Niebyłabyś ubogą szwaczką, ale jeździłabyś wystrojona w karecie, jakby jaka grafini. Na Boga! umrę ze złości na tę głupią dziewczynę, która tak mało ma przywiązania do swego ojca, że odrzuca rękę bogatego człowieka, któreby moją starość opatrzył i dni moje upiększył roskoszą i dostatkiem.

— Ojcze! zawołała z boleścią Gudula, będę pracowała dla ciebie dniem i nocą, będę dwa razy pilniejszą, na niczem ci zbywać nie będzie, wszystko czego zażądasz mieć będziesz, tylko niezmuszaj mnie abym wyszła za tego, którego niekocham.

— I dla czegoż go niekochasz? krzyczał stary żyd gniewnie, jak można nie kochać Borucha Nathana, tak bogatego człowieka?!!... Ja ci powiem dla czego ty go nie kochasz, bo ci ten Mayer Anzelm...

— Ani słowa więcéj, mój ojcze! przerwała córka żywo powstając z miejsca, wszystko cobyś więcéj powiedział, mogłoby mnie tylko obrazić i zmartwić!

— Tego tylko pragnę, rzekł opryskliwie ojciec. Chcę ciebie obrazić, żeby choć tym sposobem obudzić twoją miłość własną — i zmartwić cię, żeby już raz na zawsze stłumić tę głupią miłość! O! ja wiem wszystko! choć oczy moje niewidzą, za to słuch mam doskonały i wszystko rozumiem. Wiem że moja Gudula dawno oddała swoje serce człowiekowi, który niezwraca uwagi ani na jéj piękność, ani na jéj młodość, ani zważa że jest od niéj kochanym nad życie; a przecież gdyby chciał, widziałby że ty moje dziecko dla tego tylko zamykasz drzwi przed bogatemi konkurentami, aby je mieć zawsze otwarte dla ubogiego Mayera...

— Milcz, ojcze! przerwała Gudula kładąc drżącą swą rękę na jego ramieniu: na imię Jehowy! milcz. Oto idzie Mayer Anzelm, przechodzi ulicę i zawraca do nas. Jeżeli jeszcze tak daléj mówić będziesz, jeżeli jeszcze choć jedno słowo dodasz, coby twoją córkę wystawiło na wstyd w jego obecności, przysięgam ci na Boga naszych ojców, że pójdę nad rzekę Men, i rzucę się w nurt najgłębszy. Teraz ojcze mów co ci się podoba!

I z podniesioną piersią z rozpalonemi policzkami usiadła znowu na swoje plecione krzesełko pod oknem, wziąwszy do rąk robotę.

W téj chwili wszedł młody człowiek, pięknéj postawy, z poważną twarzą do izby.

— Witam was imieniem Jehowy! — rzekł miłym, łagodnym głosem, podając staremu rękę i spojrzawszy przyjacielsko na Gudulę. Ta, odpowiedziała mu wzrokiem pełnym miłości, poczem spokojnie spuściła oczy na swoją robotę.

— Wcześnie dziś powracasz z biura, Mayer Anzelm, rzekł Boruch, wskazując mu miejsce na zydlu obok siebie.

— Czy zaszło co nadzwyczajnego, że o całą godzinę wcześniéj opuściłeś twoje zajęcia w kantorze bogatego Natana?

— Tak jest, odpowiedział młody człowiek, zaszło coś nadzwyczaj osobliwego, dla tego przybiegłem zasięgnąć waszéj rady. Wiem bowiem, że wy jedni szczerze mnie kochacie i moje powodzenie nie jest dla was obojętnem. W tobie ojcze Boruch, pokładam synowską ufność; a ciebie Gudulo, kocham z całego serca jakbyś była moją rodzoną siostrą....

— Czy słyszysz córko—rzekł stary Boruch, on siebie nazywa moim synem, a ciebie kocha jak siostrę...

— Wiem o tem i cieszy mnie to, mój ojcze, rzekła podnosząc wzrok i spoglądając na ojca znacząco.

Tak, tak, Mayer Anzelm kocha mnie jak siostrę i ja go też także kocham jak brata.

— Nigdy nie miałem żadnéj tajemnicy przed moją siostrzyczką Gudulą, zawołał młody człowiek z uniesieniem; razemeśmy wzrosli i dzielili razem uciechy, smutek, głód nawet, a niedola ściśléj niż pomyślność łączy. Czy pamiętasz jakeś mnie pocieszała po śmierci mojéj ukochanéj matki, kiedy nieutulony w żalu gorzko płakałem i rozpaczałem?

— Pamiętam Mayer Anzelm, odrzekła spokojnie Gudula, bardzo kochałam twoją matkę, dla tego razem z tobą nad jéj zgonem płakałam.

— Objęłaś mnie wówczas swojemi rączętami za szyję, całowałaś mnie i powiedziałaś dźwięcznym, dziecinnym głosikiem: Kocham ciebie Mayer Anzelm! Otoż, za to jedno słowo pokochałem cię odrazu i przez całe życie moje będę cię szczerze kochał i nigdy nieprzestanę być dla ciebie bratem, chybabyś sama mnie odepchnęła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dodatek do Zeszytu XII, Kółka Domowego 1867.

W miejsce deseni kanwowych dajemy dodatek dubeltowy.

O UBIORACH.

Paryż 3 Czerwca.

Na wystawie powszechnéj *w Galerji Ubiorów*, są także kapelusze, ale jeszcze dziwniejsze od tych, jakie noszą paryżanki. Sukien jest dużo dziwacznych, jakichby nie włożyła kobieta z dobrym gustem, jest jednak kilka i pięknych: jedna koloru hawanna w dwóch cieniach, co teraz bardzo modne, garnirowana liściami, wyciętemi z materji ciemniejszego koloru, i druga popielata, ubrana warkoczami plecionemi z téjże saméj materji i atłasu, tylko nieco jaśniejszego koloru. Ale najpiękniejszą częścią wystawy ubiorów jest dział jubilerski, gdzie z po za szkieł prawie niewidzialnych błyszczą przepyszne klejnoty. Główną cechą ich oprawy jest lekkość. Zdaje się że te szmaragdy, rubiny, djamenty, trzymają się z sobą jakąś niewidzialną siłą. Jest gałązka bzu wprawiająca wszyskich w podziwienie czarodziejskiemi blaskami swemi i jakąś powiewnością tylko kwiatom właściwą, a cała jest z djamentów. Cesarzowa zatrzymała się długo przed owadem ślicznego rysunku, którego tułów był turkusowy, a świetne skrzydła ze szmaragdów i djamentów. Cesarz kupił go natychmiast.

Tak jesteśmy pewni, że pomiędzy naszemi czytelniczkami nie jest wiele, któreby mogły takich prezentów od swoich mężów wymagać, że nie lękamy się, opowiadając im o tych przedmiotach, zachęcić ich do zbytku. Przytaczamy więc im te szczegóły dla ich rozrywki i wspomniemy jeszcze o biżuterjach zoxydowanego srebra, których główną zasługą jest artystyczność rysunku, o bransoletce z medaljonem, utworzonym ze szmaragdu rzadkiéj piękności, którego odwrotną stronę stanowi zegarek. Na wystawie tedy można zbadać, jakie są obecnie klejnoty używane i widzimy niestety! że tak zwany garnitur kompletny jeszcze się teraz powiększył, składa się bowiem z djademu na głowę, z naszyjnika z dużemi bąbelkami, ze spinki do pasa, i bransolety.

Pomówmy teraz o lekkich sukniach. Białe muślinowe stroją pliskami jedwabnemi jasnych kolorów. Suknie takie o dwóch spódnicach jeszcze lepiéj wyglądają. Na spacery robią się tak krótkie, żeby na dwa palce przynajmniéj do ziemi niedostawały. I wyższa i niższa może być wycięta w okrągłe zęby, objęte *np.* niebiesko; na zwierzchniéj dać należy dwie pliski w prostéj linji równoległe od zębów, do tego gorsecik z epoletami, naszyty także niebiesko, a pod spód włożyć białą szmizetkę, z gładziutkiemi rękawami. Do tego kładzie się na szyję niebieska wstążeczka z medaljonem i okrągły słomkowy kapelusik stosownie ubrany. To stanowić będzie śliczne ubranie dla młodéj osoby. Chcąc ubrać skromnie głowę, dosyć jest otoczyć kok wstążką, która związana z tyłu na kokardę spadać będzie w długich końcach na plecy. Przytoczymy jeszcze drugą suknię skromną i gustowną z żaknotu gładkiego, szarego. Miała wzdłuż przodu 3 rzędy plis z jednéj strony gładkich, a z drugiéj wyciętych w zęby kanciaste: tak strona jéj gładka jak i wycinana obszyta była wązką karmazynową frędzelką, każdy zaś ząb przytwierdzonym był do sukni karmazynowym guzikiem. Na podobneż zęby i na guziki spinał się stanik; wzdłuż rękawów i w około ich szwa od ramienia szły zarówno wspomnione już plisy. Sądzimy, że można ową jedwabną frędzelkę zastąpić dzierganiem pąsową bawełną, coby, jak to mówią było praktyczniejsze, gdyż takie żaknoty się piorą, a z fryzowaną frędzelką gorsza sprawa, jak z bawełnianém dzierganiem. Nie potrzebujemy dodawać, że dla dzieci takie sukienki mogą być ładne.



Ubranie spacerowe.

Paletoty noszą tak krótkie jak tylko można i wolno

puszczone, czasami ze stosownemi szarfami, zwieszającemi się od karku. Młode panienki pokazują się na ulicy nawet bez paltotu, tylko z paskiem, do którego przyczepiona bask na w zęby, co razem ze stanikiem wygląda na opasany paletot.

Stanowczo zamiatanie ulic sukniami przestało być *w dobrym guście*. Suknie powłóczyste do większego ubrania, ponieważ nie mają więcéj jak 8 łokci obwodu, podnoszą się dosyć zręcznie z tyłu, za pomocą jednego guzika kiedy już jest konieczna potrzeba wyjścia w nich na ulicę, a to w taki sposób: guzik przykryty jest z tyłu pośród spódnicy, nie wielki, tego samego koloru, więc kryje się w kilku jéj fałdach, u paska zaś pod stanikiem przyszyta jest wązka patka opatrzona dziurką, *nb.* przyszywając guzik, trzeba uważać, żeby nie był ani za nisko, ani za wysoko; łatwo go odpiąć zachodząc gdzieś w gościnę. Suknie na ulicę robią się stanowczo krótkie, to jest nie tak jak na błoto, ale żeby zaledwie zbliżały się do ziemi; niekoniecznie potrzebują mieć dwie spódnice. Można wprawdzie naśladować garnirowaniem drugą spódnicę lub tunikę, ale i to niekonieczne. Szczególniéj też jeżeli materjał ma paski lub rzucik wydatny, nie potrzeba żadnego garnirowania. Zalecamy, żeby obwód spódnicy nie o wiele sześć łokci przechodził. Na najwyższą osobę dosyć będzie 6½ łokci; brytów zwykle kraje się sześć, jeden na tył cały prosty, gdzie się dają zmarszczki lub fałdy, drugi naprzód mocno ścięty od góry, a 4 boczne tworzą się zwykle z dwóch na ukos przeciętych. Plisa czyli podszycie obrąbka u tych sukien powinno być sztywne.

Pzypominamy, że suknie lekkie i przezroczyste wymagają pięknych, białych spódnic, i że ich krój musi być taki jak sukien. Wąziutkie falbanki na samym dole spódnic lub sukien pokazują się znowu. Niektóre paryżanki wpadają w ostateczność wyglądania tak cienkiemi, jak dawniéj były bufiaste, i zdaje się, że wyrzekły się nietylko krynolin, ale i spódnic, co znowu szpetnie wygląda. Strzeżmy się przesady panie moje, jak we wszystkiém, tak i w ubraniu. Wnosić można, że tak samo będzie i z włosami, których ilość na głowie coraz bardziéj się zmniejsza. Mówią coś o noszeniu włosów w puszczone na ramiona warkocze, przeplatane wstążkami. Wtedy to trudniéj będzie zastąpić brak swoich włosów cudzemi, ale i na to poradzą perukarze-artyści. Co do układu ważna zachodzi w Paryżu zmiana. Sławny *Seigneur* fryzjer wszystkich dam modnych ubiera już dość wysoko ich głowy własnemi ich włosami, albo też z dodatkiem małego szenionu.

Wszystkie magazyny wysilają się na koncepta mody, która dziś tem szybciéj rozchodzi się po świecie, że ją zaraz naśladują zgromadzone w Paryżu cudzoziemki. Aleksandryna prześliczne robi kapelusze, strojne nie na wierzchu, ale po brzegach, sławne *maison de Lyon* wyrabia tak piękne pasmanterje, tak kunsztowne opaski, że je słusznie policzyć można do tych ozdób, które francuzi nazywają biżuterjami fantazji (bijoux de fantaisie). Są to łańcuchy, perły, grelotki, które się zwieszają bardzo długo za pasem, a niezmiernie to dobrze wygląda na sukniach bez fałdów, szczególniéj na kobietach szczupłych i do sukien powłóczystych. Modniarki paryskie zalecają jeszcze spódnice ze stalkami, ale takie które w obwodzie dolnym nie dochodzą do czterech naszych łokci. Szczupłe figury bardzo dobrze ubierają białe staniczki z baskinami *peplum*, kładące się na lekkie suknie z fularu, barežu, lub muślinu. Opiszemy tu jeden staniczek biały muślinowy, naszyty koronką w kształcie berty i w górnéj części swojéj ułożony w fałdki podłużne, w dolnéj zaś pod koronką, gładki. Raz w około szyi, a dwa razy w około pasa szły ukosy z różowéj materji; takąż samą materją obszyte guziki zdobiły go dwoma rzędami z przodu począwszy od koronki znaczącéj bertę. Po obu bokach otwarte we dwa zęby peplum ogarnirowane koronką, naszyte było także różowemi guzikami; rękawy podobnież ozdobione guzikami i pliską. W ubiorach dziecinnych mieszają wiele popielatego z pąsowem, lub białego z pąsowém. Dwie spódniczki, których górna w zęby, bardzo też dla dziewczynek używane. Chłopczykom robią najczęściéj kurtki i pantalony z jasno granatowego sukienka.

Warszawa.

W magazynie p. Penkali wystawione są na sprzedaż spódnice z niegdyś używanéj na to włosiennicy, tylko bardzo gęstéj. Spódnice te krajane są skośno i mają rodzaj szlaku z téj saméj materji, załamywanéj w krótkich odstępach i marszczonéj w taki sposób, że tworzy do koła rodzaj bufek podłużnych. U góry i u dołu tego szlaku są nawleczone cienkie stalki. Taka to spódnica ma dziś zastąpić krynolinę, a przygotowują je dwóch rozmiarów, jedną bardzo wązką pod suknie krótkie, a drugą szerszą pod powłóczyste.

Widzieliśmy także w tym magazynie dużo ładnych sukien które się wszystkie odznaczają szczególniéj tem, że leżą wybornie na figurze i upiękniają jéj rysunek. Suknie z perkaliny w różnych kolorach, ubrane nieco ciemniejszym, a takimże samym materjałem, wyrabiają u p. Penkali w cenie od 10 do 12 rs. są to tylko spódniczki do ziemi z paltocikami. Suknie zaś ozdobniejsze są z materjałów droższych. Widzieliśmy tam suknię czarną bareżową, ubraną bardzo gustownie tegoż koloru atłasem; na dole przedniego bryta była falbana z przyprasowanemi fałdkami, a po nad nię pliska czarna z takiemiż pukielkami w górę, druga zaś pliska naśladowała tunikę idąc od dołu do góry, a pukielki szły w stronę odwrotną od przedniego bryta. Ponieważ jest to przytrudnem dla skromnéj garderoby mieć inne suknie na ulice, a inne do salonu, należy zawsze miéć przy długich sukniach haftki lub sznurki pod spodem, żeby je módz skrócić w potrzebie; że jednak teraźniejsze suknie nie są szerokie, więc nie będzie tych wielkich festonów, które dziś niezmiernie rażą.

Z materjałów sprowadzonych do tegoż magazynu zauważaliśmy prześliczne fulary po 35 i 40 rubli sukuia, w rzuciki z kwiatów nader poprawnego rysunku i świetnych kolorów. Narzekamy że obecnie tak fulary podrożały, ale też wyznać trzeba, że gatunek dzisiejszych wiele się od dawnych różni. Są to tkaniny lekkie, powiewne, pięknie układające się koło figury. Do równie strojnych należą alpagi na tle białem, gustowne i lekkie tkaniny które nie tylko w lecie do większego ubrania ale i na zimę służą. Materja taka na suknie kosztuje od 20 do 22 rs. Bareże

w centki haftowane jedwabiami są po 60 kopiejek łokieć i bardzo strojnie wyglądają. Alpag mniéj strojnych po 75 kop. łokieć dostanie. Alpagi angielskie drukowane w różne desenie są wyborne na drogę. Kretony wełniane są także dobrym a nie drogim materjałem na suknie codzienne i dla dzieci, a nowy wyrób zwany kretonem bawełnianym, przypomina perkal, tylko że jest mocno nabity, sztywniejszy, a najczęściéj koloru niewarowego, w czarny rzucik lub kraty. To jeszcze mogę oszczędnym czytelniczkom naszym powiedzieć, że ścinane suknie potrzebują mniéj materjału, a zatem mniéj kosztują. Forma wykrojona z papieru, jaką dodajemy do dzisiejszego poszytu, jest formą sukni *Gabryelli*, w któréj stanik i spódnica są z jednéj sztuki. Krając według niéj, przydłużyć trzeba stosownie do wysokości osoby, uważając żeby nie miała więcéj jak 8 łokci obwodu, jeżeli ma być powłóczysta, i wtedy należy dać pod spód plissę szeroką, żeby materja się nie niszczyła wleczeniem po ziemi.

Ubranie spacerowe. (Objaśnienie drzeworytu na str. 1).

Suknia z moheru szamoa, naszyta czarnym sutaszem w sposób naśladujący drugą spódnicę krócéj na przodzie i z tyłu, a dłużéj w ząb po dwóch bokach. Część figurująca dolną spódnicę naznaczona jest płytkiemi zębami i dochodzi zaledwie do ziemi, pasek z baskiną zastępującą do większego ubrania i dla młodych osób okrycie, obszytą w taki sam sposób, jak również i rękawy u ręki i u ramienia ogarnirowane sutaszem. Na głowie okrągły kapelusik słomkowy z rondkiem podniesionem i naszytém liśćmi z paciorek dżetowych. Z tyłu welon czarny koronkowy zwany hiszpańskim, spada na ramiona, śpięty zaś pod brodą pąsowym kwiatem werweny, takim samym jaki widzimy z prawego boku kapelusza.

PRZEPISY TOALETOWE

Proszek chinowy do zębów.

Kredy nadzwyczaj miałkiéj.	1 funt
Krochmalu takiegoż	½ »
Proszku korzenia fijałkowego	24 łutów
Siarczanu chininy.	8 «

Przesiać przez gęste sito i używać.

Woda fijałkowa do zębów

Tynktury fijałkowego korzenia, spirytusu różanego i alkoholu w równych ilościach.

Proszek dla nadania zapachu bieliźnie.

Wziąść pewną ilość proszku bez woni np. mąki ryżowéj i nasypawszy go w duże pudełko zmieszać z liśćmi kwiatu pomarańczowego, jaśminowego lub róży i rezedy, zostawić tak przez 24 godzin wstrząsając czasami a po upływie tego czasu przesiać i przesypać znowu świeżemi kwiatami, tego samego co poprzednio gatunku; powtarzać to dopóki proszek nie przejmie się dostatecznie żądaną wonią, a wtedy chcąc go dłużéj zachować, wsypać do flakoników szklannych lub też porobić tak zwane *saszety*, czyli woreczki atłasowe, w których proszek ten pomiędzy watą jest zaszyty. W miejscach gdzie mają oranżerje łatwo narobić dużo takiego proszku w czasie kwitnienia pomarańczy, a nie potrzebujemy objaśniać, że prawdziwy jaśmin kwitnie u nas także, tylko w oranżerjach.

Pomada chinowa.

Szpiku wołowego, uncja	1
Extraktu kory chinowéj skrupułów.	2
Olejku migdałowego »	8
Balsamu peruwiańskiego kropli	20
Bergamotowéj esencji, kropli	6

Rozpuścić szpik zwolna nie smażąc go i przecedzić przez muszlin. Gdy wystygnie, wlewać kroplami olejek ciągle mieszając. Potém rozcierać chinę osobno, dodając do niéj nożem po kawałeczku tłustości, aby się z nią dobrze roztarła, na końcu dopiero dodaje się esencja bergamotowa i balsam peruwiański.

Cold-cream.

Olejku ze słodkich migdałów	1½ funt. aptek.
Białego wosku.	1 drachma
Wódki kolońskiéj	2½ «
Olbrotu	1½ uncji
Wody różanéj	18 drachm
Tynktury benzoesu	1 skrupuł

Topi się olbrot w olejku migdałowym, do tego dodaje się woda różana i rozbija, aż zupełnie dobrze zbieleje, wtedy dopiero wlewa się wódka kolońska i benzoes.

Uwagi tyczące się ogrodnictwa.

Ogrody są właśnie teraz w całéj swéj świetności; najbujniejsze liście pokrywają drzewa, a na ich tle ciemnem powabnie odbijają jaskrawe kwiatki wznoszące się na wątłych łodygach po nad rabatami ogrodu.

Różnorodne gatunki róż kwitną teraz lub kwitnąć będą, na nie więc szczególną baczność zwrócić należy. W miarę jak kwiaty więdną, obcinać je zaraz trzeba, grunt w około krzaku poruszać i polewać czasami gnojówką, co wpływa na świetność koloru kwiatów; świeżo szczepione krzaki oglądać codziennie i niepotrzebne pędy obcinać, żeby krzak pięknego kształtu nie stracił. Co dzień zaś należy podlewać wodą deszczową; nie potrzeba objaśniać że powinno być w kącie ogrodu naczynie napełnione miękką wodą, ażeby ona mogła być zawsze stosownéj temperatury w czasie polewania t. j. ani za gorąca ani za zimna. Na mszycę które wielką szkodę robią różom, dobrze jest przygotować odwaru tabaki, i szprycować po gałęziach na których owady widzieć się dają.

Szkółka powinna także być przedmiotem wielkich starań w tym czasie ziemi; a w około młodych drzewek obkopywana i poruszana mocno i drzewka wiązane do podpórek. Jest to równie czas do obcinania żywych płotów, tudzież garnirowania rabat czy one są z bukszpanu czy z trawy.

Georginie polewać mocno wieczorem, a z rana obierać z nich ślimaki skoro się jakie pokażą.

Piękne gatunki gwoździków nie mogą się utrzymać na zbyt cienkiéj łodydze, którą łatwo łamią swoim ciężarem, trzeba je więc wiązać do stosownych podpórek a nawet ogrodnicy chcący długo zachować piękny gwoździk obwiązują z lekka kielich jego cieniuchną nitką, bo inaczéj z łatwością się rozpęka i kwiat się rozsypuje.

Bratki świeżo sadzone dadzą teraz piękne kwiaty jeżeli nie będą wystawione na zbytnie działanie słońca i mocno podlewane.

W tym czasie należy wystawiać drzewa pomarańczowe z oranżerji na największe działanie słońca, w miejscu zasłonionem od zimnych wiatrów. Przytem należycie opatrzyć wazony, czy przepuszczają zbyteczną wodę, w przeciwnym bowiem razie korzenie gniją.

Kamelje zaś i azaleje ponieważ już przekwitły, powinny być obcięte i trzymane w chłodzie, ażeby rosły w siłę na rok następny.

PRZEPISY KUCHENNE.

Sposób przechowywania ryb.

Zwykle trudno jest przechować w stanie świeżym ryby, tak morskie jak i rzeczne, są jednak na to niektóre sposoby. Podajemy jeden z najlepszych. Na dno drewnianéj skrzyni posypuje się węgiel drzewny tłuczony, taką warstwą żeby całą jego powierzchnię dokładnie pokryła, na to przychodzi warstwa lodu potłuczonego na takie ziarna jak gruba sól, potem dopiero układa się ryba i przesypuje się lodem tłuczonym, tak żeby żadnéj szczeliny nie było, dopiero na wierzch kładzie się płótno, znowu grubo tłuczonym węglem posypane. Po dwóch tygodniach tak zachowana ryba jest jeszcze świeża i zdrowa do jedzenia. W Anglji używają tego sposobu do przenoszenia łososia. Wprawdzie wystarczyłby sam lód, ale prędko by stopniał bez węgla. Skrzynię trzeba stawiać w miejscu jak najchłodniejszém, ale nie zbyt wilgotném.

Piwo imbirowe używane w Anglji.

Dla zrobienia tego napoju smacznego i orzeźwiającego bierze się dwa killogramy (cztery funty i pół) cukru, 50 grammów imbieru, 30 grammów kremortartari dwie cytryny, dwie spore łyżki drożdży piwnych a 24 kwart wody. Cytryny wycisnąć, przecedzić i wlać razem ze skórką w dużą miskę polewaną, gdzie już będzie pokrajany w kawałki imbier, potłuczony cukier i kremortartari; wlać na to 24 kwart wody, a gdy przestygnie dodać drożdży, które powinny być bardzo gęste i świeże. Wymieszać dobrze, nakryć serwetą i zostawić w ciepłem miejscu przez 24 godzin, potem zdjąć z wierzchu szumowiny, przelać ostrożnie do drugiego naczynia, żeby męty zostały, a piwo można było zaraz zbutelkować. Ponieważ jest bardzo szumiące, należy korki szpagatem przymocować jak na szampanie. Po dniach trzech już je używać można, a z téj proporcji otrzymuje się cztery tuziny butelek. Najlepiéj robić je w lecie.

Likwor z pestek morelowych.

Moczyć 2 tygodnie 100 pestek morelowych utłuczonych, dorzuciwszy jeszcze 30 samych ziarnek, w dwóch kwartach alkoholu 33 %; następnie przygotować syrop, biorąc 5 funtów cukru do kwarty wody; odcedzić alkohol od pestek należycie, zmieszać go z syropem i pozlewawszy w butelki mocno go zakorkować. Po trzech miesiącach likwor już będzie zdatny do użycia, ale im starszy tem lepszy.

Szczaw przechowany na zimę.

Oczyszczony z szypułek szczaw młody rzuca się na wodę gorącą i soli. Po kilkakrotnem zagotowaniu należy go wyjąć i dać mu ocieknąć należycie. Potem w nowo wybielonym rądlu, rozgotować go na powidła ciągle go mieszając, gdyż jak się przypali, już nie będzie zdatny do użytku. Wkłada się go w słoiki szklanne lub gliniane nie zbyt wielkie, żeby po zaczęciu którego zaraz go skończyć, bo napoczęty psuje się łatwo. Gdy szczaw w słoikach zastygnie, kładzie się na każdym dobrze dopasowane kółko papieru i zalewa roztopionym smalcem. Na drugi dzień dopiero pęcherzem się obwiązuje. Gdy trzeba szczawiu do użycia, podnosi się papier wraz z zakrzepłą tłustością, bierze się tyle ile go potrzeba łyżką drewnianą, przykrywa się świeżym krążkiem papieru i zalewa na nowo przetopionym smalcem.

Główka cielęca (en tortue)

Ugotować w wodzie główkę cielęcą aż do miękkości i wyjąć wszystkie kości krająć w kawałki. Główną przyprawą w téj potrawie jest sos i garnirowanie; na ten cel bierze się funt jeden szynki wędzonéj, surowéj i tę pokrajawszy w drobne kawałki smaży się w maśle, potem podlewa rosołem i gotuje przez dwie blizko godziny. Wtedy poddać należy soku z pomidorów, butelkę wina francuzkiego i jeszcze godzinę gotować. Jeżeli szynka słona, to soli już dokładać nie potrzeba, a za to pieprzu nie tylko zwyczajnego, ale i odrobinę tureckiego, gdyż ten sos ma być ostry.

W czasie gotowania włożyć należy pęczek ziół pachnących: jak pietruszki, tymianku i t. p. Kiedy już sos w połowie odgotowany, kładą się trufle, grzybki, mleczko cielęce, możdżek i t. p. a gdy one się ugotują, wyłożyć je trzeba na talerz, kawałki szynki wyrzucić, sos przecedzić i zapalić odrobiną mąki. Teraz na półmisku ułożyć główkę skórą na wierzch, tudzież owe mleczko, pieczarki, trufle ugotowane w sosie, którym się wszystko po wierzchu polewa. Sam zaś brzeg półmiska garniruje się szyjkami raków i twardo gotowanemi żółtkami.

Ta potrawa należy do najwykwintniejszych.

Szczupak po normandzku.

Oskrobany i obtarty szczupak soli się i pokrajany na dzwona kładzie się na gorące masło, żeby z obu stron się zarumienił; tak na pół usmażony kładzie się w sos zaprawiony mąką i szklanką wina białego, i gotuje na małym ogniu, a w miarę jak gęstnieje, wina dolewać należy. Na wydawaniu wciska się trochę cytryny i obkłada się rybę kilku jéj plasterkami.



KÓŁKO DOMOWE

Lipiec. 1867. r.